



ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ :: :: ::

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: „Ostoja” Poznań — Plac Wilhelmowski 17. :: :: ::

Przedstawicielstwo redakcji na AUSTRO-WĘGRY: JAKÓB GESZWIND, WIEDEN, (Hauptstr. 147).

Prenumerata roczna (na pocztę) — 40 marek, półroczna — 25 marek, kwartalna — 14 marek.

Zeszyt pojedynczy 3 marki. — **Przesyłka pod opaską** 15 fen. za zeszyt.

Prenumerata na Austro-Węgry roczna 64 korony — półroczna 32 korony — kwartalna 17 koron.

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCYI: Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem marki pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu niszczą się bez czytania. — — — **Redakcja** nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.

„OSTOJA” Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, pl. Wilhelm. 17

Telefon 5100

Opuściło prasę najnowsze wydawnictwo nasze p. t.

W przededniu nowych zadań

zbiór studiów o polskich zagadnieniach g. spodarczych.

Zawiera prace następujące:

- T. Adamczewski — Przyszły Bank biletowy w Polsce
- Dr. St. Pernaczyński — O emi i not ziemskich
- Dr. Z. Karpiński — Rola złota i polityce walutowej przyszłego Banku Polskiego
- Dr. E. Rose — Król. Polskie a Galicja — Drogi zbliżenia gospodarczego
- Stefan Haupa — Polityka komunalna w Królestwie Polskiem
- Konstanty Zachert — Zagadnienia polityki drzewnej w Król. Polakiem
- Dr. St. Wachowiak — Wychodźstwo westańskie i nadreńskie a reemigracja
- Paweł Spandowski — Pod adresem przyszłego prawa polskiego o towarzystwach akcyjnych
- Dr. Marian Głowacki — Przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe na ziemiach polskich i znaczenie ich dla gospodarswa narodowego
- Stanisław Marciniań — Wpływ wojny na finansowe położenie rolnictwa w Wielkiem Ka. Poznańskiem.

Cena mk. 10.—



załatwia z członkami wszelkie interesa bankierskie.

Pożyczki na przystępnych i dogodnych warunkach.

Papiery wartościowe jako pewna i korzystna lokacja kapitałów.

Rachunki czekowe z wielkimi dogodnościami dla wpłat i wypłat.

Udziały członków przynoszą 8 procent dywidendy.

Wkładki i oszczędności oprocentowuje od dnia złożenia pieniędzy po 3, 4 i 4 1/4 procent.

ADRES:

BANK LUDOWY, Wrocław (Hohensalza).

ZDRÓJ

ROK 2 SIERPIEŃ 1918

TOM IV ZESZYT 4

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE
I KULTURZE UMYŚŁOWEJ

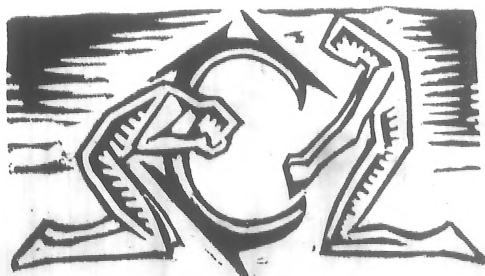
ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: ZDRÓJ — POZNAŃ PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: Ostatnie słowo — Śri Ananda Acharya (spolszczył S. S., przyozdobił Jerzy Hulewicz). Z „Króla Ducha” — Juliusz Słowacki. Ekspresjonizm, Słowacki i Genesiz z Ducha — St. Przybyszewski. U poetów — Miriam. Zagadnienia obecnej doby w oświeceniu nauk teozoficznych — Stanisława Hausnerowa. Patrzaj dziecino, Tanecznicza — Olwid. Z cyklu „Opium” — Claude Farrère (spolszczyła Jadwiga Przybyszewska). Na marginesie Don Kiszota — Michał Sobeski. Giordano Bruno — Paweł Hulka. Taras Szewczenko i Polacy — Fr. Rawita-Gawroński. Wyspiański Światowid — Ewa Łuskińska. Miacellanea.

RYCINY: Rysunek — Stanisław Kubicki. Drzeworyty oryg. I. II. III. — Jerzy Hulewicz.

OSTATNIE SŁOWA

ŚRI ANANDA ACHARYA.



óŜ więc ma począć człowiek i ku czemu obrócić dni swoje, o Guru? — spytałem, słońąc się ku lotosom Jego stóp, gdy On siedział w milczeniu, wpatrzony w płonący cicho ogień ołtarza.

— Ku Prawdy Jedynej poznaniu — zaszeleściły nademną jego

słowa, jak skrzydła aniołów pod sklepieniem świątyni.

— A jeśli Jej dosięgnąć nie zdoła myśl ociąŜała człowieka, będzie li żył i umierał napróżno? — spytałem przez zasłonę łez, pod którą ścmił się wzrok i słowa moje.

— Niech żyje żywota swego Pięknością, mój synu — zadrzał jego głos, i przez łez swych zasłonę ujrzałem oczy jego, rozchylające się nademną, jak złote niebios podwoje.

— A jeśli mu, o mistrzu, natchnienie duszy nie zbudzi, — nie masz że już, o Mistrzu, znikąd dla niej ratunku?!

Oczy jego popłynęły ku dalekiemu szumowi świętej Gangi — i ujrzałem przechodzące po nich mgły srebrne, których rosa nie przybierała jednak kształtu pereł.

— Niechaj pamięta — umrzeć Śmiercią Piękną.

Rzekł i przymknął oczy. Dotknąłem cicho lotosów stóp Jego i odszedłem w lasy, okryte różowym płaszczem świtu.

SPOLSZCZYŁ S. S.



Z „KRÓLA DUCHA”

Wieki minęły, a to technięcie boże
I to owianie ogniem naszych ramion
Wraca, ilekroć w prochu się położę
Na mych mogiłach, na łachmanach znamion;
Dlatego z ducha nigdy się nie trwożę
A bladnę, kiedym ciałem jest omamion
Na walkę z ciałem przeznaczony wieczną,
Aż Jeruzalem sprowadzę słoneczną.

JULIUSZ SŁOWACKI.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

EKSPRESJONIZM — SŁOWACKI
I „GENEZIS Z DUCHA”

V. PRACA PRZEDGENEZYJSKA.

„Słowo” Słowackiego, by się już w dalsze wody nie zapuszczać, jest zatem rodzajem międzyświata, wypełniającym próżnię między Bogiem a światem widzialnym — materją, na razie nie objawioną jeszcze, spoczywającą w ciemnościach próżni — materją „in potentia”, która wtedy dopiero się ma ujawnić, gdy duchy Słowa, nieśmiertelni synowie Boga (jako „logoi”) zażądają „krztaltów”.

I oto: „my Duchy Słowa zażądaliśmy kształtów i natychmiast widzialnymi uczyniłeś nas Panie, pozwoliwszy, iżeśmy sami z siebie, z woli naszej wywiedli pierwsze kształty i stanęli przed Tobą zjawieni.”)

Duchy zażądały „kształtów” to znaczy „realności” w pojęciu Platona i otrzymały ten istotny i jedynie „rzeczywisty” byt, (bo świat „widzialny” jest złudą i omamą), w tym celu, by świat widzialny, ten nasz świat, stworzyć.

Bóg na to zezwolił.

Sam go nie zamyślał stworzyć, ale zgodził się na to, by duchowie, zamieszkujący międzygraniczny świat między nim a tym światem, nieistniejącym jeszcze, ale i m a n e n t y m jego myślami, go z próżni, (*χώρα* Genozy) wylonili i według własnej woli urobili.

!) Nieścisłe wyraził się Słowacki, pisząc: „natychmiast widzialnymi uczyniłeś nas Panie” — oczywiście nie chodzi tu o zmysłową widzialność, li tylko o pojęcie zamiaru ucieleśnienia się przez rozpoczynającą się działalność nieobjawionych dotąd niewidzialnych energii.

Powinien był napisać w myśl średniowiecznego sporu nominalistów i realistów, (Arystotelików i Platoników): realnymi. Jak wiadomo utrzymywali nominaliści, że idee gatunkowe, ogół (universalia) nie posiadają żadnego rzeczywistego bytu, są tylko czysto oderwanymi pojęciami, ba: li tylko m i a n a m i (nomina), realności natomiast przypisują ideom byt realny, idee nie są czytelnymi pojęciami — stają się one odpowiednikami istot ziemskich w sferze duchowej. Idee (u Platona) są prototypami rzeczy zmysłowych, są one rzeczami istniejącymi niejako w pojęciu, w myśli, w zamiarze. Nie mniej mają prawdziwe istnienie i byt — jedynie „realny”, bo cała przyroda jest tylko niejako odciskiem, i to bardzo niedokładnym, pieczęcią tych idei. („Τὸ πρῶτον” w przeciwstawieniu do „Τὸ χρομῖον”). Cały ten ustęp jest zresztą dość zawyły i niejasny. Mogłoby się zdawać, że Duch, jak długo spoczywał w Słowie, nie był jeszcze „idea” — stał się nią dopiero wtedy, gdy zażądał kształtów — bo pierwaj nie był jeszcze „widzialnym”, to znaczy nie miał jeszcze „realnego” bytu, jako archityp istotnej widzialności.

Istniały słońca i gwiazdy, księżyce i ziemie, ale tylko w myśli Boga — in potentia — boć w nim spoczywa nietylko wszystko co poza bytem, ale co jest bytem, a nim jeszcze na razie nie jest, wszystko czego jeszcze nie było, nie ma, a dopiero po całych wiecznościach będzie.

Według własnej woli rozdzielił Bóg duchy: te „które wybrały sobie za formę światło, odłączył od duchów, które obrały objawienie się w ciemności i tamte na słońcach i gwiazdach, a te na ziemiach i księżycach rozpoczęły pracę form, z których Ty Panie, odbierasz ciągle ostateczny wyrób m i ł o ś c i, dla której wszystko jest stworzone, przez którą wszystko się rodzi”.

A więc: jedyną pobudką Duchów Słowa, dla której zażądali od Boga kształtów, była — Miłość.

Wszystkie Duchy pały równą miłością ku Bóstwu Najwyższemu, każdy z nich pragnął złożyć u jego stóp ostateczny wyrób swej miłości ku niemu, dla której jał „t w o r z y c a”, lecz zdaje się, że już między temi duchami istniała pewna hierarchia, bo niezadługo będzie mówił Słowacki o krągu duchów świecących, kręgowi ognia podobnych, lecz czystszej, odkupionej natury.

Zgadzałoby się to z nauką Gnozy, (Ptolomeusza, ucznia Walentyna, list do Floru) według której tylko pierwsza czwórka Eonów, bezpośrednio z Boga wyloniona, miała absolutną świadomość i znajomość Bóstwa, te zaś emanacje tej pierwszej czwórki, które z nich się w dalszym ciągu za pomocą „syzygii” rodziły, zatracaly w miarę, jak się od Bóstwa oddalały, coraz więcej tę świadomość wiekuietj światłości, a równocześnie rozżarzały się coraz gorętszą miłością i tęsknotą, by móżd potęgę jego objąć. I moze równocześnie błakał się w ekstazycznym uniesieniu upojonem mózgu Słowackiego Trój-bóg Basilidesa: Ten najwyższy, „więcej niż nazwany”, ten drugi, wielki „władca”, demiurg świata słonecznego, eterycznego, ponad niebem będącego, którego imię „Ogdoas”, a który również jest bez nazwy i ten trzeci, władca świata atmosferycznego, leżącego pod firmamentem, a którego granicę zakreśla droga księżycza: Bóg osobowy — Hebdomas ?!

Moze więc najbliżsi „pra-przyczyny” duchowie zostali wysłani na słońca i gwiazdy i tam już całkiem z Bóstwem zlać się zdołali w bezpośrednim obcowaniu z Ogdoasem, a te najwięcej od Boga, który nie jest Bogiem, bo za wielki i niepojęty, by mógł być nazwany, oddalone w ciemnościach podkieszy-cowych krwawą swoją pracę podjęły: tem większą ich zasługa, tem boleśniejszy ich „wyrób” miłości!

Co za cudowna mitologia!

To istotnie ten nowy „myt”, którego współczesny „ekspresjonizm” tak rozpacznie szuka!

Tak więc „Duch“, jako pierwsza Trójca, złożona z trzech osób z Ducha, z Miłości i z Woli, leciał powołując bratnie duchy podobnej sobie natury (nieziemnie ważne to „podobnej“ sobie natury, widocznie więc, że byli i inni duchowie „wyższej“ i „bliższej“ Bóstwa natury, o czym już mówiłem) a przez miłość, wolę w sobie obudziwszy zamienił (z ich współdziałaniem) punkt jeden niewidzialnej przestrzeni w rozblysk sił Magnetyczno-Attrakcyjnych. A te przemieniły się w elektryczne i piorunowe.

„I rozciepliły się w Duchu“.

To wszystko działo się jeszcze w obrębie słowa.

Pierwsza trójca „Duch-Miłość-Wola przez Ducha świętego Miłości na dnie swej natury wzruszona“, jęła się z szybkością błyskawicy przemieniać w trójce rodzone, jedna z drugiej, szereg, który już znany, ale w ostatniej przemianie: Duch w ciepłiku, który miał wydobyć z nieba światło — zaleniwł się w swej pracy, słoneczności z siebie wydobyć zaniedbał.

„A gdy oto zaleniwiony w pracy mój duch słoneczności z siebie wydobyć zaniedbał i z drogą się twórczości rozmiął, Tyś go Panie walką sił wewnętrznych ukarał, nie światłem już, ale ogniem niszczycielem błysnąć przymusił, a dłużnikiem miesięcznych i słonecznych światów uczyniwszy zamieniłeś ducha mego w kłęb ognia i zawiesiłeś go na przepaściach“.

Tu staje się już jasne, że Słowacki przyjmował hierarchię duchów. Krag duchów, którzy wskutek najbliższego sąsiedowania z Bóstwem rozpoczęły genezyjską pracę „na słońcach i gwiazdach“ zdołał wytworzyć światło, niższy krag duchów, które wskutek oddalenia się od Bóstwa już w pleromie, bo wylaniały się z tych pierwszych, bezpośrednio z Boga swój byt wywodzących, „obrały objawienia się w ciemności“ — rozleniwł się już, gdy ciepłik wytworzył.

„I cóż się stanie — słyszymy trwożne pytanie w pierwszej rozmowie z Helionem — z globem naszym niestworzonym, z ziemią tą, która już w oczach stwórcy stoi wyraźnie na miejscu swoim, między światami ducha zapalonemi?!“

Otóż glob ziemski był w planie pracy ducha, jak się z tej rozmowy dowiadujemy — w przepotężnym rozmachu dążył Duch do stworzenia „świata“ — dokonania piątej „przedgenezyjskiej“ pracy, ale wskutek rozleniwienia się w ciepłiku, ominął się z drogą swej Twórczości — a może chciał z lenistwem widocznie najtrudniejszą formę „przeskoczyć“ i „z ciepłika wprost w gazy przeszedłszy, w ciało stałe się przemienić“, czyli dostać się w formę szóstą.

Alte tego dokonać nie zdołał.

za karę został dłużnikiem słonecznych światów, bo został zmuszony pożyczyć od nich światła.

A ta pożyczka stała się jego ciężką karą, bo to „pożyczone“ światło, nie jest światłem z ducha, ale fałszywe i „przemienione“, czyli ogień: światło materialne, światło niszczyciel. Ogień zatem jest pierwszym wytworem grzechowego upadku, dla tego słowo ogień według Słowackiego „w słowiańskim wyrazie jest jak gdyby z westchnienia i jęku złożony“. (O! gień.)

Duch zamienia się teraz w płonący glob ziemski — rozżarzoną materję, której dotychczas nie było.

I teraz się rozpoczyna straszliwa tragedia Ducha. Duch upadkiem grzechowym „zaleniwieniem“, został wyrzucony poza obręb Słowa — za obręb „widzialności“) — w pojęciu Platona — to znaczy, że świat rzeczywisty idei „*τὸ νοητὸν*“ przechodzi w namacalne materialne „*τὸ τιθητόν*“. Duch został zamieniony w kłęb materialnego ognia, zamieniony nad przepaściami, nad tą próżnią, ono Nic Hebdomasy Jehowy, by stworzyć ten zmysłowy, „poroniony“ świat (Boehme).

A, gdy już cały glob ziemski stanął w straszliwych płomieniach ognia, proces „przedgenezyjski“ zdawał się stanąć teorią kosmogoniczną Kanta-Laplace'a:

„A oto na niebiosach drugi krag duchów świecących, kregowi ognia podobny, lecz czystszej i odkupionej natury, anioł złoty z rozwiniętymi włosami, silny i porywający, uchwycił jedną garść globów, zakręcił nią jak tęczą ognistą i porwał za sobą!“

Tak się rozpoczął system planetarny.

Nauka Słowackiego tylko na pierwszy rzut oka przypomina teorię Kanta-Laplace'a — w rzeczywistości samej całkiem się od niej różni.

Pojedyncze globy ziemskie, czy też księżycowe, nie odrywają się od słońca, ale są już przed wszelkim początkiem „punktami niewidzialnej przestrzeni“.

1) Ta nieszczęсна „widzialność“ Słowackiego (raz jeszcze do tego powracam) bezustannie w błąd wprowadza. Trzeba bacznie odróżniać u niego „widzialność“ od „materialności“. Cała ta praca „przedgenezyjska“, a więc ta, która się dokonała przed utworzeniem się globu ziemskiego, jest „widzialna“, ale nie „materialna“. Magnetyzm elektryczności, ciepłik światła, są to „widzialności“, to znaczy siły „rzeczywiście istniejące“ — zdaje się, że Słowacki przetłumaczył platońską „realność“ na „widzialność“ — i to niewłaściwie wyrażenie na manowce wprowadza. A może „widzialność“ rozumie przez „widzącą wiarę“ ogarnąć dające się rzeczy, coś istniejącem poza obrębem zmysłowego widzenia? — Tak samo używa Słowacki słowa: „stworzone“, „już stworzone“ całkiem niewłaściwie — winno być zwykle: „realne, rzeczywiste“ w sensie filozofii neoplatonickiej — dla której jedyna rzeczywistość jest idea, a świat zjawisk omamą i ułudą.

Słońce już było (in potentia) zaczęciem najbliżsi Boga Eoni je zamieszkałi, był księżyc i ziemia, zaczęciem Duch Słowackiego zamienił go w „rozbyłsk sił magnetyczno-attrakcyjnych“.

Cała czynność słońca przy upadku ducha globowego polegała li tylko na tem, że cały system planetarny — już „in potentia“ istniejący, w Ruch wprawiony został.

Przecież w Bóstwie spoczywa logos — jego myśleniu immanentny wszechświat, którego ujawnienie dał w moc Synów Duch „logoi“. Cały plan wszechstworzenia był w nim — duchowie Słowa go tylko wykorzystali, a gdzie się z Twórczością, daną im przez Boga, rozmiłali, srogo karani byli.

Było już słońce, od którego „niestworzony jeszcze“ glob ziemski dostał fałszywe „światło“, „przemienione“ światło w kształcie ognia — od niego się zapożyczył i stał się jego dłużnikiem, jak również były już światy księżycowe, od których również glob ziemski zapożyczyć się musiał i stał się ich dłużnikiem.

W „Genezis z Ducha“ istnieje tu dotkliwa luka. Nie dowiadujemy się, o ile zaleniwiony Duch ziemski stał się dłużnikiem miesięcznych światów — a przecież chodzi tu o niezmiernie ważną rzecz, w jaki sposób glob ziemski mógł o s t y g n ą ć.

W „liście do Rembowskiego“ dowiadujemy się, o ile glob ziemski „zadużył“ się i u księżycy.

Na glob żarzący i trawiący się w sobie, „za wdaniem się odkupiciela jasności (to znaczy pierwiastku słonecznego, światła) trójca nasza ściągnęła w siebie pierwiastek miesięczny — wodę — tę dziwną łzę grzesznika, która nam stała obroną, przeciwko trawiącemu ogniu“. I w ten sposób, „jako dziś w duchu, podobnie przed wiekami byliśmy wykupieni i uratowani“.

Woda zatem jest „odkupicielką“ porówni ze „światem“, gdyż na płonący glob zesła z miesiąca („miesięcznica“, „pani miesięczna“, jak ją Słowacki często nazywa) i pomogła globowi ziemskiemu w oskorupieniu.

Odkupicielem było słońce, bo zesławszy „przemienione światło“, to znaczy materialny ogień, mała ciężki grzech „rozleniewienia“ dotkliwą męką, jaki swoim ogniem grzesznemu Duchowi zadało — przeszedł on w tych męczarniach próby ogniowej niejako swój czyścic — a „miesięcznica-woda“ pełna ciężkiej skruchy „leż grzesznika“ była dla płonącego w ogniu czyścowym globu wybawieniem i obroniciem, a raczej był nim księżyc, gdyż woda jest „pierwiastkiem księżycowym“, „miesięczną twórczynią“, gdyż przez niego głównie obok światła słońca

„grzeszny pierwiastek Ognia został pokonany i niby w kajdany ujęty“.

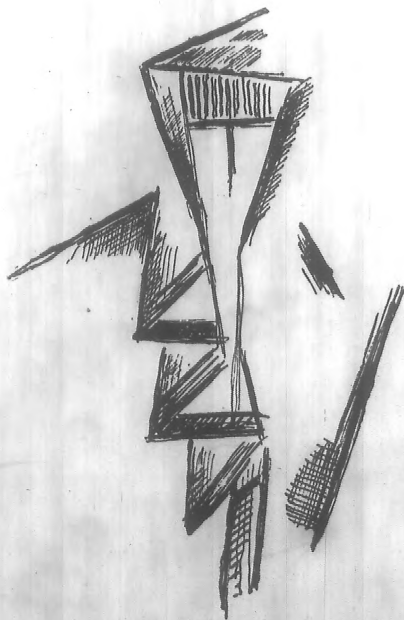
Tak więc się stało że, gdy już słońce, za dopustem Bożem ukarało glob ziemski ogniem, a księżyc go wykupił z tej śrogiej kary „miesięcznicą wodą“ — nastąpiła osobiwa chwila:

„A wtenczas trzej Aniołowie słoneczny, miesięczny i globowy z sobą zetknęci ułożyli się o pierwsze prawo pomocy i wagi, a jam (Duch globowy) począł porę oświeconą nazywać dniem, a czas światłości pozbawiony nazwałem nocą“.

I otóż powstało słowo globowe.

Na tem się kończy twórczość Ducha „przedglobowa“, którą sam Słowacki często określa nazwą „prac przedgenezyjskich“.

(C. D. N.)



Rysunek — Stanisław Kubicki.

U POETÓW

TEODOR STORM.

NA USTRONIU.

*Tak cicho wkoto; majdan spi
W skwarnej południa słoneczności,
Po starych grobach błądzą tchy
Lekkiej, odświtnej różaności;
Zioła w okwicie; boru woń
Bije w nieb letnich modrą toń.*

*Żuki pośpiesznie w cieniach krzów
Pełzną w złocistych pancerzykach,
Na dzwonek wrzosów szmerny huf
Pszczoł się uwiesza w gęstych szykach;
W trawach furkania ptasie wkrąg —
W niebie skowronków jeden ciąg.*

*Nawpół zapadły, niski dom
Stoi samotny, w słońcu złoty;
Chałupnik przyparł się ku drzwiom
I błogo zerka na pszczoł loty;
Obok leniwie jego syn
Struże piszczałki z wodnych trzcin.*

*Ledwie tej ciszy muśnie czar
Zegar z kądś ze wsi oddalanej;
Staremu sen powieki zwał,
W marzeniach liczy miodu plony.
— Żaden wzburzonych czasów prąd
Nie przedarł się w ten głuchy kąt.*

SŁOWIK.

*To przeto, że słowicza krtai
Noc zawodziła całą;
Z jej to przestódkich drgań i tkań,
Rozwonnych wiań przynosząc dań,
Moc róż porozkwitało.*

*Dziewczę to płóche było wzdry;
Dziś kroczy w zadum śpiewie,
Kapelusz letni w ręku drży,
Na białą płeć żar słońca skrzy,
Co jej jest, sama nie wie.*

*To przeto, że słowicza krtai
Noc zawodziła całą;
Z jej to przestódkich drgań i tkań,
Rozwonnych tchów przynosząc dań,
Moc róż porozkwitało.*

MIRIAM.

STANISŁAWA HAUSNEROWA

ZAGADNIENIA OBECNEJ DOBY
W OŚWIECENIU NAUK TEO-
ZOFICZNYCH

Jedna jest tylko wiedza. Jak promienie ku osi swej zdążają wszystkie systemy naukowe i religijne ku jednej odwiecznej prawdzie, coraz bardziej zbliżając się do siebie, coraz więcej upraszczając, aż nie utoną w syntezie, w Jedni Duchowego Poznania.

Nie sądzę, aby synteza ta została już zdobyta, aby bując w powietrzu potrzeba skrzydeł ptaka, lub podobnego im mechanizmu, chcąc wznieść się na wyższy stopień poznania, trzeba zdobyć wyższy mechanizm duchowy, któryby wznosił nas na te niedościgłe wyżyny.

Nad zdobyciem klucza do tych tajemnic pracują od wieków jednostki wybrane, które łącząc się w towarzystwa i bractwa tajemne, badają ukryte przed oczami przeciętnego człowieka prawa i siły rządzące światem.

Dziś nauki te z wiekowego ukrycia w tajnych uczelniach wychodzą na światło dzienne i stają się dostępne ogółowi badaczy i uczonych, którzy idą za głosem wskaźników wewnętrznych, prowadzących ich ku spełnieniu posłannictwa wieku.

Europa jest kolonią Azji. Rasy aryjskie wyniosły z niej to, co stanowi najistotniejszą głąb ich ducha.

Oderwane od łona matki i przystosowane do innych warunków przyrody, w samoistnym rozwoju swych władz wyodrębniły swe cechy. Lecz Jazń Duchowa szczepu Indo-Europejskiego gdy zrzuci z siebie to, co przemijające, gdy dojrzałość duchowa zaprowadzi ją do progów Poznania, staje się również jak Dusza Indyjskiego Wtajemniczonego owym mistycznym krzakiem gorejącym tęsknoty ku Bogu.

Synteza znanej nam literatury indyjskiej, to tylko wyraz owej tęsknoty, do płomienne, nieukożone, szczesne i bolesne poządanie utonięcia w nurtach prazródla.

Ta sama tęsknota, którą mistycy chrześcijańscy nazywają „tęsknotą ku Niemu“ prowadzi do tegoż celu wszystkie dusze wybranych proroków i świętych wszystkich epok i narodów. Wielcy przywódcy ludzkości, reformatorowie, twórcy nowych systemów religijnych, genjeli filozofowie, natchnieni wieszcz, których dusze już także po innej linii rozwojowej doszły na te krawędzie, gdzie pierwsi wieczne opanowują doczesność ludzkiej istoty, idą za głosem budzących

się w nich mocy rewelatorskich i reformatorskich. Istota tych rewelacji we wszystkich wiekach i u wszystkich narodów jednakie ma źródło, wszędzie to tylko żądza przewodniczenia ludzkości w przestąpieniu owych progów, poza którymi świecą jutrznie poznania i wyzwolenia.

Zbieżność najwyższych wtajemniczeń u wszystkich mistyków różnych epok i narodów, którzy samorzutnie bez najmniejszej świadomości o sobie odkrywali też same prawdy, dowodzi, że mają one wspólne źródło, z którego możność czerpania zależna jest jedynie od stopnia rozwoju czerpiącego.

Postęp cywilizacyjny ludzkości, są to stopnie prowadzące na wieżę poznania. W miarę swego rozwoju coraz inna rasa obejmuje dziedzictwo pracy nad postępek ludzkości, i stwarza zamknięty dla siebie schód, w którym mieści się cała skala zdobyczy wiedzy, od najprostszych spostrzeżeń w świecie grubo materialnym do najsubtelniejszych wgłębień w dziedzinę ducha. Etapy postępu są stopniami rozświetlania się zagadnień wieczności, każdy schód zawierać powinien wyższe zdobycze, w którym jaśniejsze poznanie prawdy objawi się oczom ludzkości.

Wiedza tajemna sięga najdawniejszych okresów przejawiania się ludzkiej samowiedzy. W pierwiastkach rozwoju intelektualnego zaś, była ona źródłem uświadomienia religijnych i naukowych. Każda religia miała w swoich początkach proroków i magów, bardów i druidów, sybille i pitje natchnione, którzy w stanie ekstazy religijnej objawiali ukryte zaświatowe prawdy i tłumaczyli tajemne zagadnienia, stanowili oni łącznik między widzialnym, a niewidzialnym światem.

Zabytki zamierzonych cywilizacji wschodu zaznają nas z wysoce tam rozwiniętą znajomością władz psychicznych, która jest podstawą nauk ezoterycznych teurgji, magji, astrologji i alchemji.

Wtajemniczeni magowie w ukrytych przed okiem profanów kryptach podziemnych zajmowali się badaniem tajemnych praw i przyczyn rządzących światem, poznaniem i zrozumieniem odwiecznych prawd ducha. Z tajemnicy świętych egipskich, indyjskich, assyryjskich przeszła wiedza magiczna do tajemnych uczelni greckich, a później odrodziła się w Neoplatonizmie, Manicheizmie i Gnozie.

W Hiszpanji znajdujemy ślady nauk tych uczonych arabskich, od których uczyli się średniowieczni magowie europejscy, zawiązując się w tajemne towarzystwa na wzór uczelni pitagorejskich, których celem było badanie owych prawd tajemnych i wzbudzenie tkwiących w organizmie człowieka sił i zawiązków wyższego rodzaju.

Tajemny związek Różokrzyżowców datujący się od czasu wojen krzyżowych, istniał w Europie do

końca 18. stulecia, poczem rozwiązał się skutek wciśnięcia się do jego tajemnic żywiołów niedorastających wysokim ideałom bractwa. Wzniosłe tajemnice wyzyskane do niskich egoistycznych celów dały początek teraźniejszej masonerii, która białą magię mistyków chrześcijańskich zamieniła na kult doczesnej potęgi.

Mistyczne jednak dążenia nie gasną, lecz odradzają się ciągle w natchnieniach wielkich dusz, u Genjuszów, którzy jak natchnieni prorocy we własnym bogactwie duchowego widzenia czerpią poznanie najgłębszych prawd wieczności.

Wtajemniczeni nasi to Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Towiański, Hoene-Wroński, Cieszkowski.

Początek wznowionego w Europie zainteresowania się naukami ezoterycznymi czyli teozoficznymi datuje się od drugiej połowy XIX. wieku. Twórczynią jego jest Rosjanka, Helena Bławska.

Jako dziecko objawiała ona już silnie rozwiniętą władzę medjumiczną, które zdolny i ciekawy umysł jej popchnęły w kierunku badań nad tem przedmiotem.

Żądza wiedzy zagnała ją w niedostępne przed nią dla Europejczyka doliny gór Himalajskich, gdzie znalazła stowarzyszenie bractwa mistycznego t. zw. Braci Himalajskich, które rozgałęzione jest na całym kontynencie Azji.

Tam pod przewodnictwem uczonych — Mohatmów — dopuszczoną została do tajemnic prastarej wiedzy, których to studjów rezultaty wydała w języku angielskim, w kilku grubych tomach. Przy pomocy pukownika Olcota założyła Bławska w New Yorku towarzystwo teozoficzne, którego punkt centralny został później przeniesiony do Indji Adiar — przedmieścia Madrasu.

Wedle twierdzeń Bławskiej zgodzili się mistrze himalajscy udzielić niektórym szczególnie olbrzymiej wiedzy tajemnej Europie, utrzymując, że wchodzi ona w okres wyższego rozwoju psychicznego, do którego nauka ta ją przygotowuje.

Nauka tajemna jest to Wiedza przedwieczna sięgająca kilka tysięcy lat przed naszą erą, spisywana z widzeń i uświadczeń, które utrzymują wtajemniczeni w stanie wyższej inicjacji, czyli Duchowego widzenia.

Magowie indyjscy są to ludzie, których rasa i właściwości fizyczne i umysłowe, są w tym kierunku od wieków kształcone. Widzenia ich uznawane i spisane są dopiero wtenczas, gdy zostaną potwierdzone widzeniami innych adeptów i porównane z rezultatami istniejących już prastarych dokumentów.

Księgi te zebrane są w olbrzymich bibliotekach, których objętość nie ustępuje największym europejskim

skim księgozbiorom w Britishmuseum i umieszczone w jaskiniach w skałach wykutych, gdzie jeszcze nie stąpiła stopa Europejczyka.

Szkoły ezoteryczne, których główna siedziba jest z przeciwnej strony Himalajów, są rozgałęzione po całym kontynencie Azji, w Chinach, Persji, Japonji, Indjach, Tybecie i Syrii. W ich posiadaniu są wszystkie odwieczne księgi wschodu i wszystkie rękopisy od początku powstania pisma. Mędrcy ci utrzymują, że od czasu zniszczenia biblioteki aleksandryjskiej, członkowie szkół ezoterycznych wyszukują i nabywają wszystkie księgi tajemne, aby świętą wiedzę ukryć przed okiem profanów.

Wedy, których ułamki przyswojone są językom europejskim, pisane są tak, że mają podwójne znaczenie. Można je rozumieć dosłownie, lub też czytając inną intonacją otrzymuje się tekst ezoteryczny, klucz jednak do takiego zrozumienia jest trzymany w najgłębszej tajemnicy.

Próba oddania tych tekstów w jakimkolwiek języku europejskim jest bardzo trudną, bo żaden język prócz sanskrytu nie posiada potrzebnych ku temu wyrazów. To co Adeptci Wiedzy tajemnej udzielili dotąd Europie jest kroplą wobec nieskończoności oceanu, w stosunku do ogromu ich wiedzy, na której poznanie będziemy czekać jeszcze długie wieki. „Wiedza tajemna“ Bławskiej są to komentarze do prastarych ksiąg indyjskich zwanych Księgą Dżjan czyli Księgą archaniołów, treścią ich jest kosmogonia wszechświata i geneza naszej ziemi. Jest to chaotycznie nagromadzony, niesłychanie bogaty materiał głębokich zapatywań metafizycznych, obejmujący całą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość świata, opatrzone w cytaty nie tylko nieznaną nam indyjskiej literatury, lecz i wszystkich ksiąg religijnych i filozoficznych całego świata.

Księgi Dżjan, których epoka powstania zakryta jest mgłą nieprzeliczonych wieków, zawierają olbrzymi system rozwoju fizycznego i psychicznego ludzkości. System ten tłumaczy metafizyczne i psychiczne przyczyny stanu współczesnej cywilizacji i stosunek jej do zagadnień Ducha.

Są tam wzmianki o wielkich przewrotach ociekających ludzkość w przełomowej chwili jej materialnego rozwoju tak przypominające obecnie przeżywane przez nas czasy, że można je uważać za przepowiednie obecnej doby i wojny, niszczącej cywilizowane kraje naszego globu.

Oto nieudolna próba streszczenia tej wielkiej hipotezy.

Wznoszenie i upadanie wielkiego Oddechu budzi Kosmos przy świtanie każdego nowego okresu

i puszcza w ruch za pomocą dwóch przeciwnych sobie czynników, centryfugalnej i centrypetalnej siły. Jest to zasada męska i żeńska, pozytywna i negatywna, duchowa i fizyczna, które razem prowadzą pracę nad wykorzenieniem materji stanowiącej Kosmos objawiony, zwany przez Hindusów polem Złudzenia, bo złudzeniem jest dla nich widzialna dla oka materja.

Ruch ten wahadłowy wszechświata powtarza się w nieskończoność, jak nie miał nigdy początku. Źródło i sprawca, to owa przedwieczna i jedyna substancja zwana przez Hindusów „Parabrahm“, „Paratman“, u żydów „Jehowa“, przez mistyków i metafizyków zwana „Absolutem“, „Przepaść“ Gnostyków, „Natura naturans“ Spinozy, „Ding in sich“ Kanta, „Wola“ Schopenhauera, „Świat xwymiarowy“ Zöllnera i Hellenbacha, „Stnienie“ Trechowskiego, a nasz Bóg Chrześcijański.

Otóż z łona prajazni wyłonione światy zaczynają proces kształtowania się, dążąc przez 7 okresów stopniowych przemian, od stanu eterycznego do coraz większego stężenia przez inwolucję czyli postępową materializację, a następnie ewolucję czyli spirytualizację. Te dwa prądy jeden od góry do dołu, drugi od dołu do góry symbolizują się figurą dwóch odwróconych od siebie, wierzchołkami przecinających się trójkątów. Trójkąty te są figurą życia i człowieka, a zarazem w najszerszym kosmicznym znaczeniu całego organizmu wszechświata.

„Duch i ciało to jedno“, mówią Hindusi. Duch jest zgęszczoną materją, materja rozrzedzonym duchem. Duch w inwolucji staje się ciałem, ciało w ewolucji dąży do uduchowienia.

Rozwój świata dokonuje się w siedmiu wielkich okresach, czyli kręgach i przechodzi kolejno siedm przeobrażeń zmieniających fizyczny i psychiczny kształt globu w miarę postępu ras.

Przemiany te odbywają się w łączności z siedmiu innymi planetami, które wraz z naszym globem stanowią tzw. łańcuch planetarny. Planety jednego łańcucha przechodzą tą samą drogą ewolucyjną, zajmując jedno po drugiej opuszczone miejsce w okresach rozwoju i oddziałując na siebie wzajemnie.

Z chwilą, gdy wszechświat wyłania się z nocy Bożej, czyli przechodzi ze stanu biernego w stan czynny, na ziemiach zaczynających pracę kształtowania się, monady duchowe oderwane od substancji macierzystej wszechducha, przechodzą proces powolnego rozwoju. Rozwój ten to powolne zdobywanie świadomości, czyli indywidualizowanie się niezróżnicowanej duchowej substancji.

Istnieje niepodzielna wszechobejmująca świadomość czyli inteligencja, drgająca w każdym punkcie całego Kosmosu, której niema początku, ani końca.

Pierwszy jednak przejaw, odbicie jej w świecie zjawiskowym jest niezróżnicowany. Jest to jakby odbłask słońca na szybie wody, która żyje i wsiąka w swe łono promień ożywczy, lecz dzieje się to mechanicznie bez współdziałania refleksji i woli.

Świadomość to poczucie siebie, a ta rozwija się stopniowo przez rozwój osobowości, tj. poczucie się jaźnią odrębną, indywidualnością, któreto poczucie służy duchowi do doskonalenia się w szeregu niezliczonych żywotów na co raz to doskonalszym globie.

Dosiąwszy punktu kulminacyjnego tj. najwyższego stopnia życia osobowego — czyli egoizmu — poczucie osobowe zaczyna powoli zanikać drogą osobistej ofiary, aż do świadomego, samowolnego zlania się z wszechświadomości Absolutem.

Tą drogą osiąga człowiek stan zupełnego udoskonalenia czyli uduchowienia.

Iskry duchowe zaczynają proces doskonalenia w stanie eterycznym, jak również w stanie eterycznym znajduje się ziemia w początku pracy ewolucyjnej. Każdy następny krąg przynosi wyższy rozwój i wniossek tj. stopniowe stężanie czyli zapadanie w materję, które trwać ma przez trzy i pół wielkich okresów. Przez następne okresy odbywa się ten sam proces w odwrotnym stosunku dematerializujący, czyli uduchownienia materji, aż do zupełnego rozplynięcia się w wszechduchu. —

Duch w zaczątku przybiera na eterycznym bezmateriałnym jeszcze globie eteryczne ciało i ewolucję razem z globem przybiera coraz więcej materji ważkiej, a w ciałach tych przeżywając liczne żywoty, gromadzi coraz większy zapas doświadczeń, które mu służą do rozwinięcia jego osobowości czyli egoizmu. Im grubsza materja, tem silniejsze poczucie osobowości, i tem większe samolubstwo.

Zapadanie w materję jest koniecznym prawem natury, jest ono kamieniem probierczym oczyszczenia, bo tylko własną pracą i zasługą duch osiąga stan dematerializacji czyli uduchowienia.

Monada duchowa musi przejść przez wszystkie szczeble ewolucji od zwierzęcia do anioła, aby na każdym z tych stopni zbierać potrzebne dla swojego rozwoju doświadczenia i w walce z materją ujarzmić ją i poddać swojej woli. Planem wszechświata jest nieustanne dążenie do doskonałości, której nie osiąga się za pomocą obcą, cudu, łaski, lecz przez własną pracę, przez powolne staczanie się w materję i osiągnięcie przez to najwyższego stopnia życia osobowego, z którego rodzą się wszystkie ludzkie błędy i grzechy, a następnie powolne podnoszenie się, wyzwianie z niewoli osobowości, przez walkę ze

sobą czyli materialnymi składnikami jaźni, przez wysiłki, zrzeczenia się, ofiary, aż do zupełnego zaprzeczenia swej osobowości, tj. materialnej swej istoty.

Podstawą systemu ewolucyjnego indyjskiej metafizyki jest wiara w reinkarnację czyli serię powolnych wcieleń, coraz doskonalszych aż do osiągnięcia stanu nirwanicznego, t. j. rozplynięcia się we wszechjaźni.

Reinkarnacja nie jest jednoznaczna z metam psychozą, bo w systemie tym osiągnąwszy stopnia człowieka, nie cofa się, lecz przebywa coraz doskonalsze żywioły w ludzkim cielesu.

Chyba taka jaźń, która rozminąwszy się z prawem nieustannego postępu miast ewolucji, inwolucyjną cofa się drogą i stając się czynnikiem szkodliwym, psuje wszechharmonię bytu, wraca do stanu pierwotnej materii t. j. zostaje opuszczoną przez wyższy duchowy pierwiastek i traci prawo do nieśmiertelności.

Iskra duchowa oderwana od materialnych swych obłonek nie ginie, bo wszystko co z Boga poczęte, jest nieśmiertelne, lecz ginie zindywidualizowana już osobowość. Pozbawiona formy monada tonie w morzu nieodróżnianej esencji duchowej, aby znów kiedyś rozpocząć na nowo ewolucyjną pielgrzymkę. —

Wcielenia ewoluującego ducha powtarzają się tak długo, pokąd trwa poczucie osobowości, która pragnieniami przykuwa ducha do ziemi. To pragnienie wywołuje błędy i grzechy nieśmiertelnej jaźni i trzyma ją w niewoli u jej niższych śmiertelnych pierwiastków. Upadki te tworzą łańcuch przyczyn i skutków i stają się powodem nowych wcieleń. To prawo nieubłaganej konsekwencji i sprawiedliwości nazywa się Karmą. Karma wywołwaną bywa przez skutki tych czynności człowieka, które mącą harmonię wszechświata, bo dla przywrócenia naruszonej harmonii, czyli sprawiedliwości, konieczna jest nowa działalność.

Człowiek, który nie chce tworzyć nowej karmy, powinien wystrzegać się niesprawiedliwości, a więc trzymać się prawdy w życiu tak zewnątrz, jak wewnątrz. Słowo „prawda“ obejmuje całą skalę etyki, bo prawda jest temsamem co cnota.

Prawo ewolucji jakiemu podlega monada duchowa jest to praca nad opanowaniem zwierzęcej, materialnej natury, podporządkowaniem niższych instyktów wyższemu duchowemu pierwiastkowi.

Prawo to bezwzględnej sprawiedliwości i konsekwencji przyczyn i skutków tłumaczy niezrozumiałe dla nas różnice charakterów, zdolności, nierówność losu, stanowisk społecznych, jak przyczyny wszelkich cierpień i nieszczęść, które bardzo często spadają niezasłużenie.

Tem także można tłumaczyć pojawienie się geniuszów u rodziców przeciętnie rozwiniętych lub odwrotnie, problem nie dający się podciągnąć pod prawo dziedziczności. Rozpatrując ten plan ewolucyjny z jego nieubłaganą konsekwencją i sprawiedliwością można ze słuszością powiedzieć, że człowiek jest twórcą swego szczęścia, jakkolwiek w stosunku do jednego istnienia nie wydaje się to prawdziwym. Wedle prawa karmicznego człowiek jest w istocie twórcą swego losu. Kuje on sobie nierozzerwalny łańcuch wiekowych następstw każdego czynu, każdego słowa, każdej myśli, której każde ogniwo musi sam spoić i rozkuć własnymi rękami. Pomoc dana mu przez wielkich nauczycieli, nawet Boskiego Zbawiciela, to tylko młot i paliwo, tylko drogowskaz, światło rozświecające drogę. —

Promień łaski zlewa się tylko na dusze otwierające się na jego działanie, szukające prawdy, nawet chwila tzw. cudownych nawróceń musi być w zależności od całego szeregu przełomów i przemian duchowych w zakrytych przed oczami naszymi drogach ducha.

Najwyższym stopniem jaki osiąga duch już doskonały, to spokój na łonie Bożem, Nirwana, utonięcie we wszechbycie. Jest to stan, w którym ograniczoność oddzielnego osobistego bytu zostaje zniweczona, gdy świadomość oddzielna łączy się ze wszechświadomością Wszechświata.

Posiadłszy Nirwanę, człowiek nie łącząc indywidualności zaczyna odczuwać siebie we wszystkim co istnieje, a wszystko co istnieje w sobie. W przeciwieństwie do panującego na zachodzie wyobrażenia, mówi Bławatska, jakoby Nirwana była brakiem wszelkiego życia, nazwałby ją można najdokładniej pełnią nadosobistego istnienia, które zlało się z istnieniem wszechświata.

O tym stanie doskonałości i wszechwiedzy mówi mistyk Chrześcijański Angelus Silesius „tak jestem wielki jak Bóg, on zaś jest tak małym jak ja, ja jestem wieczność, wolny od działania czasu, jednoczę się z Bogiem i Boga ze sobą jednoczę.“

Powrót Ducha na ziemię, czyli reinkarnacja zostaje znów w ścisłym związku ze stworzonymi przez Ducha przyczynami. Powracają one do swego pierwotnego pola działania, pociągane poprzednio zadzierzgniętymi związkami z opuszczonym miejscem pobytu, rodziną, lub przyciągane tajemną siłą pokrewieństwa duchowego.

Duchy na wyższym stopniu ewolucji wracają jako przywódcy narodu, i to są prorocy, zjawiciele wielkich prawd, geniusze, prawodawcy, ci którzy zjawiają się jakby z gotowym już planem działania.

Święte księgi indyjskie wspominają o wyższym jeszcze dobrowolnym poświęceniu się duchów na najwyższym szczeblu rozwoju. Gdy Arhat — Duch doskonały — przejdzie całą swą drogę i stanie u wrót Nirwany, może się jej wyrzec przez miłosierdzie dla ludzi i niewidzialny pozostać w świecie, by pomagać duchowemu rozwojowi i zbawieniu ludzkości. Po śmierci fizycznej wyrzekłszy się Nirwany żyje on w dalszym ciągu w ciele eterycznym dla niewtajemniczonych niewidzialnym, a to dla tego, by strzedz ludzi i pomagać im.

Do tych Duchów ofiarnych stosują się słowa jednej z cytat, jakie Bławatska zebrała z świętych ksiąg indyjskich, w dziełku „Głos milczenia”. „A kiedy dojdiesz do progu siódmego i ostatniego poznania, Wierzeje ominiesz, lecz na to jedynie, by stać przy niedoli i do nieskończoności bezinteresownym pozostać.”

Chrześcijaństwo nazywa tych niewidzialnych przewodników Aniołami Stróżami. —

Duch osiągnąwszy drogą ewolucji stopień człowieka, był jak powiedziano w pierwszym okresie istotą eteryczną, bo w takim stanie znajdował się glob, a na nim natura dążąca do stopniowego kryształizowania się sił fizycznych w okresie drugim i trzecim.

Świadomość ducha rozwija się powoli, z początku podobna do świadomości zwierzęcia jako instynkt, żądza i trwoga. Każda władza naszego ducha, wszystkie odcienie jej popędu właściwości, przechodziły tę samą drogą ewolucyjną; każda zbrodnia w stopniowaniu staje się cnotą, każda wada uszlachetniona zaletą.

Obrane z egoistycznych pobudek zuchwalstwo staje się bohaterstwem, skąpstwo przemienia się w wstrzemięźliwość, gwałtowność w żądzę czynu, upór w stałość charakteru, bezwzględność w walce z przeszkodami to impuls do postępu, który ze ślepego okrucieństwa przemienia się w czyn twórczy.

Miłość wszechludzka, najwyższe uczucie wszechspójni z całem Bytem, to także tylko produkt zdobyty ewolucją przez uduchownienie samolubnej zmysłowej żądz.

W drugim i trzecim kręgu kula ziemską zaczyna się stopniowo ustalać, a z nią cała żyjąca na niej przyroda. W tych epokach odbywały się wedle genyzy indyjskiej ważne i zajmujące przewroty. Duch tworzył coraz doskonalsze kształty, zdobywając również coraz doskonalsze sposoby rozrozdania.

W czwartym kręgu następuje zrównanie potęg, siła Ducha zrównuje się z siłą materji i to jest właśnie epoka narodzin naszej cywilizacji.

Okres, w którym znajdujemy się obecnie, to początek drugiej połowy czwartego kręgu. O nim mówią prastare księgi „rozwój sił intelektualnych dosięgnie swego zenitu w postępie nauk i sztuk, w zdobyczach rozumu służących materji, duchowi jednak nie przynoszących żadnych korzyści.”

Rozpętana z więzów swych materja przewali Ducha swoim ogromem, który w walce z nią ulegnie. To też jedynym bodźcem czynów tej epoki będzie zaspokojenie potrzeb i wymagań materialnej, egoistycznej natury. Egoizm stworzy podwaliny cywilizacji tego okresu, on też będzie powodem jej upadku, bo on właśnie czyni ludzi ślepyimi na światło prawdy i zagradza drogę duchowego postępu.

Z końcem pierwszej połowy czwartego kręgu egoizm wzrośnie do najwyższego napięcia. Wszystkie zdobycze cywilizacji jemu tylko służyć będą. W Europie, która w tym okresie stanowić będzie jakoby serce globu, centrum jego życia rozwojowego, straszna nienawiść wzajemna ogarnie ludzi i narody. Wszystkie narody rzucają się na siebie, aby się wzajemnie zabijać, a przywódcy ich w ślepotę swej nienawiści stwarzać będą hasła i idee, nieświadomi, że są tylko bezwolnymi czynnikami fermentu ewolucyjnego.

Człowiek musi sam ukuć sobie ogniwa łańcucha, który ducha skruwa i sam własnymi rękami skruszyć krępujące go kajdany.

Ludzkość musi sama zburzyć ciężkie piramidy materialnej cywilizacji, którą przytłoczyła Boski pierwiastek swej jaźni. Sama musi rozkuć kajdany nienawiści, którą się dobrowolnie skuliła, sama za swój błąd sprzeciwienia się wskaźnikom posłanników Bożych, ponieść musi całopalną ofiarę krwi i męczeństwa. Żadna ewolucja nie odbywa się bez przewrotów i kataklizmów, tak jak kształtowania się globów wymagało tytanicznej walki sił tworzących, konwulsyjnych podrzutów, rozszalałej w swej pracy kosmicznej materji, jak tężenie skorupy ziemskiej rozsądzało głazy formując góry i morza, tak nadpowietrzna walka przeciwnych sobie prądów wywołuje w wyższych astralnych i niższych materialnych sferach ziemi straszne starcia i zapasy sił fizycznych i duchowych. Bo to rozprężenie widzialne, dostępne naszym zmysłom ma w sobie inne niewidzialne dla oka, tajemne przyczyny. Oto duch pracujący na globie wchodząc w centrum przelomu, zenit ewolucji zaczyna wytwarzać więcej niż dotąd duchowej substancji, która spływać będzie i ożywiać coraz więcej jednostek, tak, że światło duchowej wiedzy dostępne dotąd tylko garstce wybranych, stawać się będzie udziałem coraz szerszych mas.

Pierwiastek przeciwny, (którego przejawem samolubstwo, pycha, chciwość, zmysłowość, żądza

użycia,) którego zadaniem było opierać się i przez stwarzanie pokus i przeszkód, popudzać przeciwne siły do tem większego, samodzielnego wysiłku, z tem gwałtowniejszą uderzą zaciętością, wytwarzając inne wrogie tamtej sile substancje, których dziełem, rozpętanie najniższych, najbardziej materialnych żywiołów.

Jest to w organizmie wszechświata walka dwóch przeciwnych sobie czynników, jaka odbywa się codziennie w fizycznym ustroju człowieka, w którym drobne ustroje walczą bezprzestannie o władzę nad składnikami jego krwi i ciała, jedne rozkładowo, drugie ochronnie.

Bez względu na to, o ile te hipotezy zdają nam się przekonującemi, przyznać musimy, że organizm duchowy człowieka współczesnego jest również jak i fizyczny pastwą nieustannych walk i przewagi sił destrukcyjnych.

W stosunkach i warunkach naszego życia towarzyskiego, rodzinnego, politycznego znajdujemy góry całe piętrzących się przeszkód, które skuwając nas łańcuchami sztucznych form i urojonych obowiązków zagarniają cały nasz czas i wszystkie siły i władze fizyczne i duchowe pod swe berło.

Od dzieciństwa zaprzagnięci do zmudnych i jałowych zwyczajów, kształtowanie ciała i ducha powinno być przedmiotem najwyższych starań. —

Wiekі całe pracowały nad wytworzeniem coraz to trudniejszych, coraz bardziej szkodliwych warunków bytu, które są sprawcami tej nienawiści i rostroju, do jakiego doszedł nasz glob w dobie obecnej. Wiekі całe wysilały się na odkrycia i wytwarzania zabójczych narzędzi, które tysiące żyć przecinają w jednej minucie.

Mimo objawień wtajemniczonych, mimo drogowskazów posłanników Bożych, mimo ofiary krzyżowej Bożego Syna, który przyszedł wskazać nam miłość wzajemną jako drogę i cel żywota, ludzkość podążyła wręcz przeciwną koleją.

Lecz wedle nauk indyjskich zboczenie to z gościnieców prawdy nie jest wpływem złej woli jednostek, lecz koniecznym prądem kolejnego rozwoju pierwiastków, aby Duch mógł wchłonąć w siebie całą skalę dźwięków, tysiącostrunnej lutni, aby mógł rozczepić się na tysiące barw, od szarości mułu ziemi do brylantowych promieni aureoli świętych.

Rola jednostki w tej postępowej pracy ludzkości, to tylko przyspieszanie spełnienia się woli

Bożej, tylko łagodzenie straszliwych starć wrogich żywiołów, tylko miłosna opieka starszych duchów nad młodszymi, rozświetlanie ciemni jasnością promieniającego bożego Ducha.

Czwarty krąg będzie polem największego rozwoju intelektualnego, mówi mędrzec indyjski, punktu swego kulminacyjnego osiągnię w swej połowie, w której ludzkość stoczy się na dno życia czysto materialnego. —

Potem nastaną kataklizmy fizyczne i duchowe, zupełne rozsprzężenie sił duchowych, zanik wszelkich idei, pomieszanie pojęć, jakby nagle zerwaną została łączność ludzkości ze źródłem wszechświadości. Człowiek zostanie rzucony na łup swej własnej ciemnoty. Jestto jakby zaćmienie słońca duchowego. „Szczęśliwy ten,“ dodaje ów mędrzec, „kto w tych walkach stanie po stronie Wyższego i Jemu do zwyczajstwa dopomoże.“

Jak każdy produkt natury, ma także każda cywilizacja swoje narodziny, swój wzrost i zanik.

W starych kronikach indyjskich i u niektórych filozofów greckich spotykamy wzmianki o istniejących przed naszą erą wysoko rozwiniętych cywilizacjach na zatopionych kontynentach Lemurji i Atlantydy. I czasy znane w historii dają nam szereg przykładów rozwoju i zaniku cywilizacji i poszczególnych narodów.

Wszystko to, co tworzy materja, jest nietrwałem, tak jak i ona, która jako przejaw śmiertelnych pierwiastków wszechświata jest jedynie Wielkiem Złudzeniem.

Wszystko co dotąd zbudował człowiek na ziemi na egoizmie opiera swoje istnienie, bo materja to produkt uświadamiającej się osobowości, jak znów egoizm jest duchowym przejawem materji.

Są to wszystko przejściowe formy procesu ewolucyjnego, prawdziwy jednak postęp, to nie gromadzenie tworów rozumu, służących do wygody i użycia, lecz wzrost świadomości ducha, poznanie i uznanie jedni wszechistnienia i z niego płynących obowiązków pracy nad dziełem uduchowienia wszystkiego co żyje, by razem z całym globem utonąć w nurtach wszechjednoczenia.

PATRZAJ DZIECINO,

oto jest kraju mizerny skrawek, zwan „niczyją ziemią“, wązki, nierówny jak dla lalki Alpy — „niczyją“, bo ludzie o nią rydlami się płatali, wydrapywali oczy — czerwonymi sercami kobiet ciskali na siebie.

Patrzaj dziecino, już tu soczysta ruń kielki zapuściła, wybujała w falowaniach jasnej zieleni, obłokom złotym śląc całusy —

a dobrze rośnie ruń na nawozie takim.

Patrzaj tu, jako pracowity kret pałac zbudował z krążganków — jako wykopał długi kanał podziemny, dla żony swej przechadzek. Tu nagle skręcił w bok, nie mógł ryć dalej, piszczel ludzki na złość położył się w poprzek jego drogi. Pewno się gniewał kret, bo żona jego lubi krążganki proste. —

Ach, patrzaj na tę myszkę milusią, małą jak ty, dziecino. Jak ucieszenie sunie stworzenie śród trawek — jak oczek guziki wybalusza w przestrachu! Jeszcze to dziecko mysie biegać nie potrafi. Nie tykaj go patykami, bo zemrze z lęku. Ach, już ta myszka wie, dokąd się schronić — już jej niema. Widzisz, dziecino — w okrągłym otworze w kamieniu się schowała. Nie, to nie kamień — to ludzka czaszka. Patrz, jaka ładna, krągła, gładka. Weź ją w różaną rączkę, ot tak. Czerep taki ma każdy człowiek, ma brat twój, ma wróg. Im czaszka twardsza, tem lepiej — tem głośniej zgrzyta, gdy ją kolba rozłupie. Na to jest czaszka.

Czemu patrzysz za motylkiem skaczącym w słońcu z promyka na promyk? Lubisz go? Tak, to miłe stworzenie, matka jego jajka złożyła w wystrzelonym szrapnelu.

Ale teraz zbliż się tutaj, dziecino. Bądź grzeczna i nie patrz za motylkami. Wiesz co to jest tu przed tobą na ziemi? To był człowiek. Przed rokiem, może dwoma. Człowiek, jak każdy inny. Chodził, jadł, spał, modlił się też, może pisywał książki, a w każdym razie listy. Lubił motylki i świeżą ruń. Przed rokiem zabili go. Za sławę i oj... — Leży tu, pogrzebu mu odmówiła ziemia.

Niepodobny do człowieka? Przez rok wietrzyk go pieścił, deszcz całował go przez rok, śnieg tulił się biało do jego ciała, wichry lulały go do snu... Przez rok rozpięty nad nim był błyszczący baldachim pocisków śpiewających. Przez rok dwadzieścia kroków przed nim, dwadzieścia kroków za nim czuwał ludzi rów pelen, aby zasię ręka obca nie tknęła śpiącego. Do człowieka niepodobny.

Uważaj, dziecino: Oto jest głowa, jaką już tam u myszki widziałas — im twardsza, tem lepsza. Tu pierś, gdzie teraz widzisz żebra płatkami obwieszzone. Na niej nosi się szkapierz, a w mundurze fotografii matki. W pierś lepiej nie kłuć, bo często jest twarda. Pod temi żebrami leży także serce, co krwi ma dużo i nie tak łatwo się przekrwawi. Tu niżej brzuch. Tu kłuć bagnetem trzeba — a mocno! Niema na to ratunku. Noga tylko jedna — druga pewno dalej leży, naprzykład tam w tej kępie. Ręce są obydwie, ale brak dłoni jednej. Ach, patrz dziecino — to jest druga dłoń — jak silnie po roku jeszcze ścisła rękoięć granatu! Nóg i rąk nie warto obcinać, bo można łatwo potem sprawić sztuczne.

No, dobrze dziecino — grzeczną byłaś, słuchałaś uważnie. Daj buzi i pobaw się swoją z blachy armatką. A dobrze grochem strzelaj, dokładnie!

TANECZNICA

Siedzę na tobie okrakiem i ziebnącym ciałem opieram się na twojem cielsku.

Zimnaś jest i niema. Smutna może? Widziałem lzy w milczących oczach młodzieńców, co na wojnę szli — więc i tobie pewno niewesoło!..

Siedzę na twem cielsku i czuję, jak ty rozumiesz wszystko, jak tu patrzysz, słuchasz i myślisz. — Dobryś los sobie wybrała. W dobrąś się porę narodziła.

Oto zesłaś na świat w czas twardej, gdy dobrze być z spiżu i stali, w czas grzmotu, gdy poplającą silne płuca...

A płuca masz potężne zaprawdę.

Pytał się u twej kolebki duch, żali klamrą chcesz zostać złociłą u bucika oblubienicy, lub szarym łachmanem na ciele nędzarza, albo na poety grobie krzyżem, lub zwiewną tkanką muslinu, co sen dziecka w kołysce chroni od owadów.

Ty wszakże mądrą byłaś i jasnowidzącą. Wiedziałaś już wtenczas, iż tobie służyć będą za podnózek złocista oblubienicy klamra i łachman żebraczy i niemowlęcia sen i mogiła poety. Wiedziałaś, że nie będzie czystości, że nie będzie poezji, ni marzeń niewinnych. I w głębokiej swej mądrości zapragnęłaś być tem czem jesteś. Z twardej stali cię ulano, płuc siłę ogromną dając i nerwy z żelaza. Zostałaś tanecznicą aktualną, pełną werwy i stylu, trochę ciężką, ale wytrzymałą nad wyraz.

Czekasz tu teraz na swój debiut. Miłująca ręka człowieka kwiatem cię ubrała. Czas się zbliża, kiedy w oślepiającym twoich kinkietów błysku, staniesz do tańca, kiedy zakrzykniesz na świat swój krzyk bojowy Walkirii — duchowi straszliwy, a człowiekowi tak miły. Zdobędziesz w lot miłość ludzi, rozkochając się w rytmie twych płaśów tak samo, jak już miłują legiony twoich koleżanek, kwieciami sypać będą i wrzaskiem zapалу z czarnej otchłani widowni na przejasną twą na scenie życia postać.

Ty to wiedziałaś. Mądrą byłaś i jasnowidzącą.

Czuę, przytulając się do ciebie (bom senny i walką utrudzon), jak ciało twoje drzy nieznacznie w gorąccze czynu, jak rwie się do tańca wśród kwiatów i kulisów z krwi, jak pierś z trudem powstrzymuje grzmot ekstazy!

Cierpliwości! Przyjdzie wkrótce czas na ciebie. Powiozą cię do thea trum twego, gdzie staniesz wśród wałów nagromadzonych granatów, oślizgłych, błyszczących. I życie twoje się zacznie.

Aż ostatni pocisk zbuntuje się w krtani ci pięknie stalowej — pierś i kadłub rozszarpując na kłęb żelastwa. Po trupie twoim przebiegnie bosą stopą za krasnym owadem dziecina.

W polu, 17. 6. 18.

OLWID.



Utwóroryt oryg — Jerzy Hulewicz.

Z CYKLU „OPIUM“

CLAUDE FARRÈRE

Z EPOKI TRZECIEJ „EKSTAZY“

TYGRYSY.

Palarnia moja nie jest wyłożona matami. Na ścianach nie wiszą też kakimonoś, na których, z pagodami pokrytego krajobrazu, rogaci bogowie się uśmiejają.

Palarnia moja jest od góry do dołu obwieszona skórami tygrysów, i podłoga, na której stoi słabo paląca się lampa, jest także pokryta temi surowcami, czarnopregowanymi skórami, które swoje, ostre, zakrzywionymi pazurami opatrzone łapy, na wszystkie strony wyciągają. Głowy ich, które wskutek wprawionych, emaliowych ocz nabrały pozoru życia, wiszą na ścianach, albo płasko leżą na podłodze. Te ostatnie służą palaczom za poduszki, podczas gdy półkołem na ścianach rozwieszone, zdają się czuwać nad ich, działaniem opium wywołanymi, snami. Wśród tego dzikiego stada zażywam zupełnego spokoju i ciszy.

Gdy po raz pierwszy w Chinach zakosztowałem słodczy opiumowego odurzenia, sądziłem, że działanie jego zewnętrznymi środkami, zwłaszcza fantastycznym, bogatym urządzeniem palarni może być spotęgowane. W Kantonie zwiedzałem najwięcej osławione lokale, w których nieraz narażałem się na niebezpieczeństwo, za pomocą noża wrogiego cudzoziemcom tubylca, z objęć opiumowych snów w objęcia śmierci być przeniesionym. Poznałem także wytworne palarnie Peking'u, gdzie, jak bożycze strojne kobiety, śpiewem i lubieżnym tańcem mają potęgować działanie opium.

Bywałem w tych, dla wybranych tylko przeznaczonych miejscach, w których arystokraci ducha się spotykają, i na równi z nimi lubiłem przelotną rozkosz palenia, filozoficznymi pogawędkami zaostrać. Kilka razy zwiedziłem nawet te jaskinie występku, gdzie palenie opium jest tylko pretekstem do najwyższej rozpusty, pretekstem do zadowolenia tej przewrotnej namiętności, którą wyrazem sadyzmu określamy.

Dziś jednak szukam tylko jedynie samego upojenia się dymem opium, i daje mi ona całkowite zadowolenie. Nie potrzeba mi w tym celu żadnego wyszukanego otoczenia, a bez obecności powabnych kobiet i filozoficznej rozmowy z wyjątkowymi umysłami, doskonale obejść się mogę.

Palę sam, zupełnie sam, otoczony tylko moją żółtą, czarno pregowaną gwardją, której kły w półmroku palarni połyskują. Ale mógłbym także palić w zupełnie pustym, o nagich ścianach pokoju. Moje tygrysy są mi jednak najmilszym otoczeniem, raz dlatego, że skóry ich chronią mnie od chłodu wczesnego ranka, a potem także dla tego, że w opiumowym odurzeniu oczy moje w tej żółto-czarnej geometrii punkt oparcia znajdują.

Gdy patrzę na moje tygrysy, nie śnię już jednak o tych dziewiczych lasach, w których były one niegdyś władcami. Nie śnię już o tych parnych wieczorach, które przeżyłem w dżungli, tych tajemniczych wieczorach, podczas których słońce krwawo zachodziło i ostatnimi swymi promieniami pregowatego myśliwca budziło, który ze swego całodziennego snu wstając, szeroko ziewał i wyciągał zgłodniałe pazury. Nie śnię już o tem krótkim, charakterystycznym szczekaniu, któremu niegdyś przysłuchiwałem się podczas nocy Tonkinu — o tem szczekaniu, którego dźwięk nawet w stajni ukryte bydło o niepokój przypawia.

Zbyt długo już palę. Świat ludzi i rzeczy, świat zewnętrznego życia jest już daleko pozamną. Po między tym światem, a memi obecnymi myślami niema już nic wspólnego. Moje tygrysy lubię tylko dla tego, że futro ich tak miło grzeje i dla tego, że dziwny rysunek ich skóry bawi moje oko.

Niemam już żadnych trosk; żadnego zawodu, żadnych przyjaciół; — palę — oto wszystko. Opium dopomaga mi coraz więcej we mnie samym się pogłębiać, a znajduję w tej głębi dostatecznie ciekawy materiał, by przy nim o całym zewnętrznym świecie zapomnieć.

Przedtem porywała mnie głównie czarodziejska siła opium. Wydawało mi się cudowną rzeczą obserwować przemiany, jakie ziele to u swych wiernych wywołuje. Z zachwytem rozkoszowałem się odczuwaniem siebie samego, jako zupełnie obcą mi, nową istotę, której zmysły obumierać lub potęgować się zdawały. Uścześnieślało mnie spostrzeżenie, że coraz gorzej widzę, ale za to tem delikatniejszym mózgiem słuch być poczyną, że moje nerwy są zupełnie poszarpane, a moja siła płciowa zawodzi. Ale wszystkie te małości przestały mieć dla mnie urok z chwilą, gdy opium mój mózg przepoilo, by mu prawdziwą mądrość objawić.

Więcej jeszcze: właściwe cielesne zadowolenie z palenia — które w każdym razie dla mego ciała stało się nieodwołalną koniecznością — jest najskromniejszą częstką mej rozkoszy. Bo naprawdę: żaden skurcz serca lub kręgosłupa nie daje w najodleglejszym porównaniu tej rozkoszy, co to błogie pogwałcenie, jakie czarny dym opium na nasze płuca wywiera, i więcej, jak kiedykolwiek drzę wówczas pod jego słodkim, zdradliwym pocałunkiem.

Umiem się udurzać jego ciepłym dymem i nauczyłem się nieokiełzane żądze, które moim ciałem i moimi członkami wstrząsają, świadomie używać; — bez troski śledzę zabójcze ogłuszenia, które z mego karku wychodząc i codziennie dalej się rozszerzając, zacem muskuly moje ubezwładni i pozbawi mnie władania członkami. —

Jadnakowoż to niewypowiedziane szczęście mego ciała jest niczem w obec radosnej ekstazy mego ducha. Oh, co za szczęście odczuwać, jak z sekundy na sekundę coraz więcej z więzów ciała się wydobywam, jak się coraz mniej jest człowiekiem, i jak się zwolna z wszystkiego, co ziemskie wyzwalam. Śledzić wolny lot ducha i duszy, które się materji wyzbyły i tajemnicze spotęgowanie wszystkich szlachetnych sił, inteligencji, pamięci, poczucia piękna w sobie odczuwać.

Przez proste wypalenie kilku fajek bohaterom, apostołom, bogom czuć się równym; bez żadnego wysiłku myśli Newtona pojmować, geniusz Napoleona ogarnąć, błędy Praksytelesa być wstanie poprawiać.

W nieskończenie pogłębionem sercu miejsce dla wszystkich cnót, wszelkiej dobroci i miłości znaleźć; niebo i ziemię z równie głęboką tkliwością objąć, dla szczęśliwych i nędznych równą dobroć i oddanie odczuwać: — zaprawdę, błoga szczęśliwość, którą grecki Olimp i raj chrześcijan wybranym swoim obiecuje, nieda się z tem doskonałem szczęściem porównać. Bo wszakże doznaję tej błogości.

I zaiste, religie, których, jako zwolennik filozofii Nitzschego dotychczas nie uznawałem, mają słuszość, jeśli miłość bliźniego i bogobojność wyżej stawiają, jak sprawiedliwość i dumę.

Moja radość bowiem z tego, że wszystkich ludzi duchem i rozumem przewyższam jest, dziwnym sposobem, ani w porównaniu tak wielką, jak zachwyt czuć się najlepszym i najmiłosierniejszym z ludzi. Ta wyższość mego serca nad innemi sercami jest źródłem głębokiego zadowolenia, które słowami określić się nie da. Podniosłe natury, które do idealnych celów zdążają, zalewają się nieraz gorzkim smutkiem, bo życie wydaje im się brzydkim, brudnym i grzechem splamione. Ja wszakże, który widzę jaśniej i dalej, przestałem widzieć w niem zło i smutek. Po piętnastej fajce zaciera się wszystko zło przed moimi oczyma. Realnym rzutem oka rozpoznaję przyczynę wszystkich wyników, sprzężynę każdego czynu, uniewinnienie każdego występku. A ponieważ liczba przyczyn i uniewinnień jest legion, i ponieważ jestem równie sprawiedliwy, jak jasnowidzący, nie sądzę i nie potępiam nigdy, rozgrzeszam wszystkie biedne, grzeszne serca, współczuje z niemi i kocham je.

I na moich czarnych, opiumowym dymem przesyconych skórach zgotowałbym równe przyjęcie dla cezara, jak i dla Konong-Tsen'a.

I teraz, kiedy nad tem się zastanawiam, rozumiem nagle, dlaczego palarnie moją tygrsiemi skórami wyłożyłem. Te drapieżne, dzikie zwierzęta oznaczają dla mnie to samo, co Kain, Judasz lub Brutus. Ich zaledwie z krwi otarte paszce, ich płaskie czaszki nad mało rozwiniętym mózgiem, podstępna gibkość ich grzbietu, wszystko to opowiada mi o pożalowania godnej niedoskonałości świata, świata, dla którego najgorszych błędów jeszcze zawsze uniewinnienie znajduję i których dlatego potępić nie mogę.

I dla tego niema w mem sercu oburzenia dla moich tygrysów, że niegdyś w dżungli, w chwili, gdy Diana usta Endymiona całowała, one, polany leśne krwią plamiły.

Przełożyła JADWIGA PRZYBYSZEWSKA.

MICHAŁ SOBESKI

NA MARGINESIE DON KISZOTA

IV.

(C. D.)

Cervantes i Hiszpania, oto właściwe „klucze” do Don Kiszota — o ile wogóle potrzebuje klucza książka, będąca rozkoszą młodych i starych, powszechnie czytana i... rozumiana. Jak bowiem pogodzić z tem „powszechnem zrozumieniem” fakt, że okragłe trzy wieki usiłuje szereg umysłów, i to nie najgorszych, zgłębić Don Kiszota? Cała ta sprawa nie może więc jednak być tak niesłychanie prostą, jak się wydaje. Że t. zw. szersze koła czytelników ulegają złudzeniu — objaw to nie rzadki. Trudno natomiast przypuścić, by wszelacy komentatorzy-specjaliści kładli tylko własne i często wielce zawiłe treści tam, gdzie ich najzupełniej niema.

Wobec takiego stanu rzeczy zadziwiać nie może, że powstało podejrzenie, czy czasem Kiszot nie jest z umysłu dwulicowym, jak mądrość kapłanów egipskich lub Pitagorejczyków? Egzoterycznie, dla tłumu, to jeno wesołością i melancholią przeplatane dzieje Błędnego rycerza z La Manczy. Ezoterycznie, dla wtajemniczonych, to całkiem co innego. Wszystko jest symbolem. Pulchna Dulcinea to luz en idea, blask w idei. Dorotea oznacza tea de oro, pochodnię złotą. Cardenio to kardynał, więc oczywiście satyra na duchowieństwo. Teatr marionetek mistrza Piotra głosi nienawiść do króla, a miłość do Rzeczypospolitej. Spalenie książek rycerskich, które zawróciły głowę Kiszotowi, to wyszydzenie Inkwizycji. A sam Quijote to que hijote! Brnąć tak dalej, szczególnie z ludzłą pomocą etymologii, można dobić, dokąd się tylko zapragnie. Każde słowo, odpowiednio poprawione, może być ostatecznie symbolem, mimo że nie można się dopatrzeć żadnych wskazówek w tym kierunku w żadnym zakątku żywota i dzieł Cervantesa.

Bez karkołomności ezoteryczno-etymologicznych usiłowano z Cervantesa zrobić wszechgenjusza, drugiego Arystotelesa, obejmującego wszelaką mądrość swego czasu. Cervantes był tedy pierwszorzędny prawnikiem, geografem, podróżnikiem, ekonomistą, socjologiem, lekarzem, przyrodnikiem, filozofem i t. d. Cervantes ogarniał niewątpliwie jasnym i pewnym wzrokiem liczne dziedziny wytwórczości ludzkiej — jak zresztą przystało na powieściopisarza, kuszącego się o wielkorzutne malowidło socjalne. Lecz nie trudno dostrzedz, że w żadnej z licznych umiejętności, poruszonych w swych pismach, nie przekraczał on bynajmniej miary przeciętnej. Biorąc do rąk pisma bałwochwalcze, pasujące go gwałtem na

wszechmędrca, doznaje się przykrego rozczarowania. Np. idee estetyczne, wyluskane z pism Cervantesa przez Salvadora Salas Garcido („Exposición de las Ideas estéticas de Cervantes” Málaga 1905) nie przynoszą mu bynajmniej szczególniejszej chluby. Są całkiem przeciętne. O istocie piękna nie dowiadujemy się nic ciekawszego jak tylko, że polega na jedności w różnorodności, co wiedzieli doskonale Grecy i św. Tomasz z Akwinu, lub że piękno duchowe opromienia nawet brzydotę, o czym mówił nie tylko Clemens z Aleksandrii. Wogóle robiąc z Cervantesa koniecznie wielkiego estetyka i znawcę literatury, wyrządza mu się iście niedźwiedzią przysługę. Dość wspomnieć „Visaje al Parnaso”, pełne pochwał dla zupełnych miernot artystycznych. Wiadomo jest rzeczą, że w sprawach literackich był Cervantes na ogół ignorantem. Bez ogródek przyznaje to Bonilla y San Martín w dopiskach do wspomnianej Historji literatury hiszpańskiej Fitzmaurice-Kelly’ego (str. 326). Słynną wówczas książkę portugalskiego żyda Leona, napisaną po włosku p. t. „Dialogi di amore” 1535, poleca Cervantes czytelnikom, o ile umieją po włosku. Nic nie wie, że istniały wtedy już przynajmniej trzy przekłady hiszpańskie, przedewszystkiem cenna praca wybitnego liryka Garcilaso de la Vega z roku 1590-go.

Nie był też Cervantes teoretykiem erotyzmu, rozbierającym wnikliwie uczucia miłosne, jak Balzac lub Stendhal, mimo że był jako artysta pierwszorzędny praktycznym psychognostą. Umiał doskonale odtwarzać przeróżne stany miłosne, lecz nie umiał snuć filozoficznych dociekań nad miłością. I krzywdzi go się, zapożyczając jak César Moreno Garcia „nowy pogląd” na Kiszota („Un nuevo aspecto del Quijote” Avila 1899), mający wykazać mistrzostwo jego pod tym właśnie względem. Wszystko teoretyczne, co Garcia na temat miłości, zazdrości, małżeństwa i t. d. z Kiszota wydobywa, nie świadczy zgola o żadnem szczególniejszem pogłębieniu.

Cervantes mówi ustawicznie o „obłądzie” (locura) Kiszota, któremu nadmierne czytanie ksiąg rycerskich „wysuszyło mózg”. Musiał on tedy być... psychiatrą. A nawet był pierwszorzędny specjalistą, miał niewątpliwie pacjenta, monomana w sprawach rycerstwa, na którym wzorował Kiszota — tak wyrokuje psychiatra Antonio Hernandez Morejón. Pomieszcza go przeto w swej „Bibliograficznej historii medycyny hiszpańskiej” i oddaje mu szczególny medyczny hold w „Bellezas de medicina práctica descubiertas en el ingenioso caballero Don Quijote de la Mancha” Madryt 1836. Niewątpliwie zajmował się Cervantes obłądem. Obłąkanym, t. zw. lykantropem, jest Cardenio z Don Kiszota, wzorowany zapewne na chorych,

widzianych na Sycylii. Z „Trabajo de Persiles y Sigismunda” wiemy, że uderzył go tam widok ludzi, wierzących, że są zamienieni w wilki. Także licencjat Vidriera jest doskonałym typem monomaniaka. Wydaje mu się, że jest ze szkła. Wysnuwa stąd wszelkie wnioski teoretyczne i przede wszystkim praktycznościowe. Poza tym jest całkiem normalnym. Cervantes znał więc dobrze monomanię i umiał ją użytkować artystycznie z niezwykłą zręcznością.

Zdaniem Morejona zrobił Cervantes w Don Kiszocie jednakowoż bez porównania więcej. Narysował mianowicie przyczyny, symptomatologię i cały przebieg choroby. Podał nawet plan leczenia z ścisłością, na jaką mógł się zdobyć jeno pierwszorzędny, fachowy psychiatra. I tak jako „predyspozycje i przyczyny” choroby Kiszota należy wyliczyć jego temperament gniewliwy i melancholijny, wiek niemłody, dumę rodową, zamiłowanie w myślistwie i w potrawach du haut goût, stan szalonego zakochania i wreszcie nadmierną lekturę. W prostych słowach Cervantesa: „od niedostatecznego snu a nadmiernego czytania wysuszył mu się mózg do tego stopnia, że stracił rozum” znajduje Morejón opis organu, miejsca i przyczyny choroby z ścisłością Hipokratesa lub Boerhaave'a! Pominąwszy symptomatologię, przebieg i trwanie choroby, wspomnijmy kilku słowy plan leczenia, naszkicowany rzekomo przez Cervantesa. Nie Pinel, chluba psychiatrów francuskich, wprowadza leczenie moralne chorób umysłowych — jeno Cervantes. Już na 200 lat przed Pinelem stosuje on „strategię leczniczo-moralną”, celem uspokojenia chorego. Całkiem według przepisu Boerhaave'a zarządza dwa skrajnie przeciwne postępowania. Jedna grupa osób, pielegnujących Kiszota, mianowicie ksiądz, golibroda i Samson Carrasco podtrzymują jego urojenia. Druga grupa: kanonik z Toledo, gospodyni i siostrzenica zwalczają je z wszystkich sił. Cervantes wyprzedza nawet wielkiego fizjologa Broussais z początku XIX-go wieku. Oblakany z Sewilli powiada mianowicie, że „żołądek jest laboratorium, gdzie się fabrykuje zdrowie” — czyli: Cervantes rozpoznaje związek jelit z umysłem. Zaprawdę, że słusznie zaznacza wobec takich wywodzeń Morejona Legrand du Saulle,¹⁾ że potrzeba tu tylko jeszcze sekcji Kiszota. A może Cervantes nie wykonał jej... z umysłu, znając braki anatomii patologicznej w tej właśnie dziedzinie!

Także inni psychiatrzy stwierdzają mistrzowską rękę Cervantesa w rysowaniu „rycerskiej monomani” Kiszota. Taki Emilio Pi y Molist, będący równocześnie niepoślednim cervantystą i alienistą, wykazuje także

zgodność Cervantesa z nauką.²⁾ Don Kiszot jest, jak każdy monoman, opanowany tylko w pewnym zakresie jakąś idée fixe. Poza tym jest zupełnie zdrowy. Głównie podlega iluzji: uważa karczmy za pałace, młyny za olbrzymów i t. d. W urojonej swej dziedzinie rycerskiej nie zna żadnych wątpliwości. Wszelka samokontrola jest tu wyłączona, stąd jest bezwzględnie pewnym siebie.

Lecz czyż Cervantes musiał koniecznie być fachowym psychiatrą, by narysować idée fixe Kiszota? Czyż nie starczyła tu niefachowa, za to niezwykle przenikliwa i bystra spostrzegawczość życiowa? Dalej była mu przecież pomocną t. zw. intuicja artysty, czyli rozbudowywanie materiału zaobserwowanego z pomocą własnych pierwiastków psychicznych. Gdyby autorzy jak Cervantes, Szekspir lub Balzac zniewoleni byli tworzyć każdy typ dopiero na podstawie szczegółowych badań psychologicznych czy psychiatrycznych — nie byłoby im życie starczyło na wykonanie małej części tego co dali. Robiąc z twórcy gwałtem naukowca, krzywdzi się w nim artystę. Dostrzeganie w artystach wszelkich możliwych, szczególnie medycznych właściwości, jest zresztą z dawien dawna na porządku dziennym. Homer miał być świetnym anatomem. Tucydides, Wirgiliusz i Lukrecjusz opisali doskonale choroby morowe, Szekspir obłąd w Królu Learze i t. d. W rzeczy samej dochodzi artysta z pomocą twórczych konstrukcji a priori, opartych na okrucinach obserwacji, nieraz do wyników, które naukowe badanie zdobywa później a posteriori. W tem znaczeniu „ubiega” sztuka czasami znacznie naukę.

Z natury rzeczy wywołało takie bałwochwalcze uwielbienie Cervantesa silny odruch. Wybitni znawcy piśmiennictwa hiszpańskiego, jak Prosper Mérimée, Juan Valera i Morel-Fatio, podkreślają z naciskiem, że Cervantes nie był wszechstronnym genjuszem, że nie torował dróg ani w filozofii, ani wogóle w żadnej nauce, że pod tym kątem widzenia był jeno synem swego czasu. Nie odkrył żadnej naukowej prawdy. Jako filozofa i uczonego przewyższali go znacznie poeci Tirso de Molina, Lope de Vega lub Calderon. Wszelkie roztrząsania Kiszota, literackie, naukowe czy polityczne, nie przekraczają co do treści przeciętne zdrowego sądu. A nawet — zapewnia nie bez słuszności Morel-Fatio — starczy utworzyć Don Kiszota, by znaleźć błędy w rozumowaniu, myśli złe lub niejasno wyrażone, i to zawsze wtedy, gdy Cervantes pragnie być filozofem i moralistą.

Wykształcenie Cervantesa nie przekraczało również ówczesnego przeciętnego poziomu. Znał dobrze język włoski i portugalski, lecz niema pewności, czy

¹⁾ w ocenie francuskiego przekładu książki Morejona w *Annales médico-psychologiques*, tom 5-ty, Paryż 1859.

²⁾ „*Primeros del Don Quijote en el concepto médico-psicológico*” Barcelona 1836.

znał także języki klasyczne — mimo że profesor humanistyki Lopez de Hoyos nazwał go, jak wspominaliśmy, swym „ukochanym uczniem”. Clemencín wykazuje w obszernym komentarzu do Don Kiszota cały szereg fatalnych wprost „pomyłek” Cervantesa.

Cervantes nie jest żadnym przodownikiem postępu, prorokiem społecznym — raczej jest zachowawcą, niemal reakcjonistą. Widzi dobrze niezliczone braki, lecz głęboka, dziecięca wiara w „króla” czyni go niedostępnym zasadniczym zmianom politycznym czy socjalnym. Nienaruszalna jest dlań powaga Inkwizycji, krępującej bądź co bądź swobodny rozwój myśli naukowej i filozoficznej. Nie tutaj należy szukać genialności Cervantesa.

Wysoko ponad zwykły poziom wyrasta natomiast jego wielkie serce, miłujące ludzi i jego głęboka wiara w człowieka. Zna doskonale słabości i błędy ludzkie. Nie obce są mu tajne zakamarki duszy, gdzie gnieźdzą się wszelakie nikczemności. Na własnej skórze doświadczył tyłokrotnie, do czego zdolny jest człowiek. Mimo to nie złorzeczy mu nigdy. I to umiłowanie rozświeśla wszystkie jego dzieła łagodnymi, ciepłymi blaskami słońca rychłej jesieni. Drugim czynnikiem jego wielkości jest przepiękna wyobraźnia twórcza. Czerpie ustawicznie z pełnego, bez żadnego wysiłku. Po pierwszej części Don Kiszota, zdumiewającej nieprzebranymi pomysłami, następuje część druga, jeszcze pomysłowsza. I tę główną swą siłę zna doskonale. „Raro inventor” i „yo soy aquel que en la invención excede á muchos” mówi z dumą o sobie w Podróży na Parnas.

* * *

Czy Cervantes miał na myśli pewne współczesne osobistości w postaciach Don Kiszota, wyrosłego niewątpliwie z satyrycznego podłoża — nie udało się ustalić do dziś dnia. Biografowie, wnikaający do ostatnich tajników jego codziennego życia, twierdzą, że Kiszotem ma być jakiś Alonso Quijada de Salazar, za karę, że sprzeciwiał się jego małżeństwu z Catalina de Palacios. Dla Sanczy wynaleziono znanego nam już Luisa de Aliaga, dla Dulcynei pewną rzeczywistą

dziewczynę z Toboso i t. d. Oczywiście lada ciemniejsze określenie daje pochop do wyjaśnień tego rodzaju. Np. Cide Hamete Benengeli, podsunięty ówczesnym zwyczajem przez Cervantesa jako rzeczywisty autor rękopisu Don Kiszota, określony jest mianem „autor arábigo y manchego”. W tem dopatrzono się wytknięcia mieszkańcom La Manczy nieczystości krwi, pomieszaną z arabską!

Współcześni Cervantesa, jak to współcześni, goniący za „aktualnością”, widzieli w Don Kiszocie przede wszystkim satyrę polityczną. Melancholijnego rycerza spotkał tedy całkiem ten sam los, co Boską Komedję Dantego, uchodzącą z początku również za pamflet polityczny. Nie rozeznając się najzupełniej w szczerem uwielbieniu Cervantesa dla krwi królewskiej, widziano w Kiszocie to Karola V-go, to księcia Lerma, zarządzającego nędznie krajem. A podstawą tego przypuszczenia był u obydwoh... nos orli Kiszota. Ataki Kiszota na młyny, to dążenia Karola do monarchii wszechświatowej. Wydarzenie z lwami, to nieudana wyprawa Karola do Afryki. Wskazywano także na Filipa II-go i na księcia Medina Sidonia. Powstała nawet dziwaczna legenda. By wpłynąć na pokupność książki, miał być sam Cervantes ogłosić rozprawę, objaśniającą że Don Kiszot i jego dzieje, to Karol V-ty i jego awantury wojenne i miłosne. Tymczasem rozprawy tej, noszącej podobno tytuł „El Buscapié” (szmermel), nikt nigdy na oczy nie widział. Naraz w roku 1848-tym znalazł się rękopis. Wydał go zastulony uczony Adolfo de Castro. Legenda byłaby więc szczerą prawdą, gdyby się nie było niebawem wydało, że Castro padł ofiarą literackiego oszustwa. Broszura była podrobioną.

Oliwy do całego tego ognia dołączył zresztą ponownie Sir Rawdon Brown. Przeglądając z polecenia rządu angielskiego archiwum Wenecji w celach dyplomatycznych, znalazł sprawozdanie posła rzecypospolitej weneckiej Simona Contareniego w Madrycie z lat 1604 i 1605. Donosi on o pojawieniu się Don Kiszota i zaznacza, że ogół uważa to za satyrę polityczną, wskazując na odpowiednie osobistości.

(C. D. N.)

GIORDANO BRUNO

PAWEŁ HULKA.

Za mną jest mrok, z którego światłość tryska
 Wieczystą, nigdy nie przerwana falą,
 Gdzie niezrodzonych jeszcze słońce ogniska
 Nieobjawionym się płomieniem palią.
 Wszystkie w tym mroku przyszłe tęczowania
 Płomiennych barw ukryte są głęboko
 I zeń się władztwo linii powyłania
 I zeń widzące się narodzi oko.

Za mną jest cisza. Drzemią w niej pioruny
 Jutrzejszych burz. Straszliwe huragany
 Chowają skrycie w jej tajemnym łonie
 Swoją hymn stworzenia jeszcze nieśpiewany,
 Niby psalterjon setosiaćstruny
 Na boskie mistrza czekający dłonie.
 Drzemie w nich piosenka człowieczej niedoli,
 Śni poszum liści w niestworzonym borze
 I huk orkanu, co ocean orze — — —
 Z ciszy tej pieśń się wolności wyzwoli.

Z tych mroków idę do was i z tej ciszy.
 Dlatego w oczach Słońce mi się pali,
 A ucho pieśni nieśpiewane słyszy
 Lecące za mną jak echo z oddali.
 Z tych mroków idę, z tej kolebki ducha,
 Skąd myśl płomieniem błyskawic wybucha,
 Na świat pożogi rzucająca łuny
 I z ciszy idę, gdzie drzemią pioruny.

Wszystko wiem i dlatego obcemi są tworgi
 Duchowi memu, obcemi nadzieje.
 Wiem jak się rodzą i konać boga
 I śmiech znam, którym Los się wiekiem śmieje.
 Wszystko ma swoją we wszechczasie chwilę
 Narodzin, zgonu, szczęścia i bólesci
 I miejsca wszystko ma w przestrzeni tyle,
 Ile w Przeznaczeń wyrokach się mieści.

Cicho spoczywa w swym miękkim oprzędzie
 Motyl i ni na chwilę nie zbudzi się wcześniej
 Zanim wszystkich stawania chwil swoich nie prześni
 I nim kwiat się rozwinie dlań, na którym siedzieć.
 Wiem, że złociasta trąba Archaniola,
 Co umarłych na Boży Sąd dźwignie z mogiły
 Motyla tego zbudzić przedwcześnie nie zdoła
 Nimby narodzin jego chwile się spełniły.

Idę pijany bohaterakim szaleem
 Skroś wieki nieskończone w nieskończoność światów,
 Bo z pierai Wszystkowiedzy mądrość swą wyszałem
 Jak pszczoła miodne soki asie z pachnących kwiatów.
 Widzę, kocham, szaleję i w swym szale tworzę
 Świat ducha, co do walki z światem ciała stawa
 A czoła swego nigdy nie schylę w pokorze
 Przed znieprawionym duchem obłudnego świata,
 Co wolnym akronie w wieńce cierniowe opłata
 A niewolnikom nędznym twarde piazę prawa.

Sam idę z pieśnią swoją skroś pustynię ducha
 Śród milionów tchórzliwie schylonych ku ziemi;
 Ich nienawiść mnie oplwa i stos mi zapali
 I moją pieśń oniemi...
 Lecz poprzez płomień stosu oglądam z oddali
 Nadchodzący wiek nowy, co pieśń mą wysłucha.

Słyszę głosy dalekich braci jak żórawi
 Pokrzyk w bezgwiezdnej nocy obłokach zgubiony,
 I widzę, jako idzie z każdej świata strony
 Rzesza przemogła,
 Co szuka i woła Boga.

Kto nas wybawi? Kto nas wybawi?
 Kiedyż rozbył się nam gwiazda wielka
 I kiedyż Miłość - Wybawicielka
 Błyśnie nad światem Złociastą zorzą?
 Kiedyż się więzion bramy otworzą?

O! bracia wieków przyszłych, wiercie jak ja wierzę,
 Że jedna noc ustąpi słonecznemu ranu,
 A druga wam na chwilę mą wiarę odbierze
 I rzuci was w burzliwe fale oceanu
 Świata, nad którym dzień i noc się zmienia,
 Niosąc radość słoneczną i ponurość cienia.
 Bo udziałem człowieka nadzieja i trwoga
 A celem poznawanie Boga,
 Wiarą wydobywaną z pomroki wątpienia.

Wiem, z przeszłości zabłądzą w waszą przyszłość duchy
 Przeczenia, krzacz słowa pokuty i skruchy
 Za każdą śmiałość myśli i śmiałość marzenia,
 Przyjdą z wiekuiatego groźbą potępienia,
 Lecz i to wiem, że głos ich z drogi was nie zwiedzie.
 Przyjdą mężni, co staną na pochodu przedzie
 I jak ja swą radosną wiedzę z wami dzielę
 Nowym wiekom ukazą nowe, wielkie cele.

Słyszę te krucze przeciwko wam głosy!
 Drżij potępiencze! Po wieków wieki
 Szatan cię będzie
 Po drog rozstajach wodzić w obłędzie,
 Cel ci ukaże jasny, daleki,
 Na skrzydłach ekstaz wznieś — e w niebiosy,
 Serce — e rozpali w jarzący płomień
 I zbłąkanego śród oszołomień,
 Gdy sił do lotów wyższych nie stanie
 Straci w otlchłanie.

Wy im nie wiercie. Wiekuiate prawo
 Jest duszą świata, a treść tego prawa
 Że to, co w zmiennej powatało godzinie
 Jako kształt — minie
 Ale istota — zostawa,
 By po wieki się stawać coraz nową jawą.

Będziecie szukać swego Miłowania,
 Co jest silniejszym nad śmierć nienawiści,
 Skroś mrok pójście, co słońce przesłania
 Aż się wasz Sen o wiecznym Pięknie ziści.
 Zgrzybiały świat się przez was stanie młody
 I piękny jako w pierwszy dzień stworzenia,
 A zaś do walki w imię Wyzwolenia
 Ducha z niewoli, nie mężę jedni, lecz całe narody
 Staną i na bój pójdą jak na gody.

Wierście, kochajcie i twórzcie — odchodzę
 Tam, skąd przyszedłem, w mrok, co tworzy Słońca
 I w ciszę wielką, w której piorun zrodzę,
 Co wracać będzie i błyskać bez końca

Aż duch się jasny z pęt mroków wyzwoli
 I padną w gruzy przybytki niewoli.

Za mną jest mrok słoneczny i piorunne ciele...
 O wieku nadchodzący, ja two kroki słyszę,
 O bracia jutro dalekich, tulę was do łona,
 Jutrznie wolności Ducha, bądź mi pozdrowiona!



Autoportret (druka oryg.) — Jerzy Mulewicz.

FR. RAWITA GAWROŃSKI.

TARAS SZEWCZENKO I POLACY

IV.

(C. D.)

W Nowopetrowsku życie Szewczenka płynęło bardzo ciężko. Przedewszystkiem był pozbawiony ożywczego stosunku z zesłańcami polskimi, następnie musiał sobie tworzyć nowe warunki życia, nowych jednak przyjaciół. Zupełne osamotnienie, życie w brudnej, niechlujnej i ciężkiej „kazarmie“ z nóg go zważyło. Z niedostatku i nieczystości dostał strasznej choroby „cyngi“, która go zeszpeciła na całe życie. Lekarze znają tę nieprzyjaciółkę nędzy i niewoli. Pozbawia ona człowieka włosów, zębów, ciało wygrza. Przebył ją pomyślnie. Fort miał przed sobą tylko step piaszczysty, pusty, bezdrzewny, szarozłocisty, bezbrzeżnie smutny. Zieliński, towarzysz wygnania Szewczenki, osnuł na tym temacie piękny poemat Kirgiz. Szewczenkę ten widok karmił smutkiem beznadziejnym. Wpatrzony duchem w Ukrainę, w tem bezludziu widział tylko „woronu na chresti“.

Siedmioletni prawie pobyt poety w Nowopetrowsku był niemal bezplodnym pod względem twórczym. Oddalony od Polaków, z którymi się zbliżył, korespondował tylko z nimi aż do chwili opuszczenia swego przymusowego miejsca pobytu. Niestety, doszły do nas bądź ułamki tylko tej korespondencji, bądź w przekładach rosyjskich. Są one nie tylko żywym świadectwem stanu duszy poety w czasie pobytu w Nowopetrowsku, ale też dowodem żywej sympatii, a nawet przyjaźni obustronnej. Jakkolwiek tylko obszerniejsza korespondencja z Bron. Zaleskim doszła do nas z tego czasu, maluje ona jaskrawo życie poety, jego usposobienie, jego tęsknoty i marzenia, a równocześnie tą głęboką przyjaźń, jaką Polacy i Szewczenko wzajemnie dla siebie mieli. Zanim rozejrzemy się w szczegółach tej korespondencji, nie od rzeczy będzie powiedzieć, że nie znajdujemy w niej zarówno śladu wszelkich żalów i pretensji jak i najmniejszej wzmianki o losie i przyszłości Rusi, a o współczesnej literaturze ruskiej, gdy coś dochodziło do niego, odywał się z przekąsem.

Jakkolwiek wiemy, że korespondował z Sierakowskim, Zaleskim — i zapewne nie z nimi tylko — listy Szewczenki do nas w komplecie nie doszły. Czy przez ostrożność, czy przez przypadek, czy może nawet rozmyślnie ukryte zostały? — Nie chcemy odgadywać. Może chciano zatrzeć ślad tej przyjaźni poety z Polakami? Wszystko możliwe. Tylko listy Szewczenki do Zaleskiego ocalały — ale i te tak są ogłędne, że nie użyję innego wyrazu, traktowane i użytkowane

skąpo przez ruskich biografów, że można śmiało powiedzieć, przez prasę i literatów ruskich wyzyskane nie zostały. Czasem odezwał się ogólnikowy głos obrony Szewczenka od równie ogólnikowych zarzutów rozmaitych „zemlaków“, Rosjan „małoruskiego pochodzenia“ — jak chętnie tytułowali się.

Listy Szewczenki do Zaleskiego odkrywają przed nami cały świat życia wygnańców z ich tęsknotą, smutkiem, nieraz rozpaczą, a rzadko nadzieją. W listach poety wylewa się cała dusza człowieka dobrego, życzliwego za miłość, jaką go Polacy otaczali, wdzięcznego za nią i odpłacającą się wzajemnie szczerą przyjaźnią. W listach jego znajdujemy mnóstwo imion tylko tych wygnańców-Polaków, którzy dzielili z nim ciężką dolę, wspominanych z największą życzliwością. Domyśleć się nawet nie możemy kto to są owi Michał, Foma, Eustachy, tak samo jak nie posiadamy żadnych szczegółów, dotyczących nazwisk Czyżika, Stankiewicz, Serednickiego i in. Jeśli kiedy znane nam będą akta męczeństwa narodu polskiego, chowane dotychczas po różnych kancelariach „III oddziału“ lub innych, wtenczas dopiero wyciągnięte będą na jaw te, zapomniane dzisiaj, a godne pamięci imiona bojowników za ideę wolności, którzy głowy swoje złożyli w stepach Kirgizkich, nad Aralskim morzem, na Mangaszyku, w Orsku i Orenburgu. Może kiedy wolna Ojczyzna wystawi wspólny pomnik tym wszystkim, którzy za jej wolność walczyli i polegli — nieuczczeni i zapomniani. Szewczenko w każdym liście niemal pisze: „pocałuj odemnie rękę ojca prefekta“, „pocałuj milego mego i dobrego Cejzika“, „kłaniaj się Serednickiemu“, „kłaniaj się Stankiewiczowi“, „ucałuj Zygmunta“ (Sierakowskiego) i „życzę mu najświetniejszego powodzenia na wybranej drodze“. Powtarza się to nie raz jeden, ale w ciągu korespondencji od r. 1850 do końca prawie życia poety. — Tak głęboka i szczerą była przyjaźń wzajemna.

Z chwilą gdy położenie Zaleskiego stało się łatwiejszem, gdy otrzymał stopień oficerski i wysłany został do Bohosłowska, a wkrótce wrócił do Orenburga i objął tam urząd bibliotekarza, stosunki jego rozszerzyły się. Gdzie mógł tylko i jak mógł używał ich na korzyść, bodaj materialną, dla towarzysza niedoli i włóczęgi nad morzem Aralskim. Szewczenko posyłał szkice swoje, rysunki, w ogóle co miał i mógł spieniężyć, do Orenburga a Zaleski chętnie w sprzedaży pośredniczył. W listach nazywał je Szewczenko „materje wełniane“ i zawiadamiał ile

¹⁾ Piama T. Szewczenka str. 16.

²⁾ ibid. str. 22.

³⁾ ibid. str. 26.

⁴⁾ ibid. str. 35.

„kawalków“ posłał.¹⁾ Powtarzało się to kilkakrotnie, a w maju (1857) „wysłał 17 sztuk“. Wybierz z nich, co najlepsze — pisał — według twego zdania, i sam cenę oznacz. W obec zbliżającej się podróży jestem podobny teraz do tureckiego świętego. Gdyby zapłacono po 15 rs. byłbym więcej niż zadowolony“.²⁾

Trawiony gorączką tworzenia, oddając się tylko ukradkiem malowaniu i pisaniu, Szewczenko znalazł glinę, zdadną do lepienia i z zapalem oddał się rzeźbiarstwu. W wyroku sądowym, który go nad brzegi Kaspijskie zagnał, nic o tem nie powiedziano; zabrał się przeto do lepienia. I tu pośrednictwem Zaleskiego okazało się potrzebnem. Posłał mu tedy najpierw Byka z Kirgizem.³⁾ Innym razem z Zielińskim, autorem Kirgiza, posyła grupę Trio, a z Friedmanem figurę Zbawiciela.⁴⁾ Wszystko to łatwiej było spieniężyć za bezcen bodaj w Orenburgu niż w Nowopetrowsku.

Korzystając z uczynności Zaleskiego, wdzięczność swoją wyraża w każdym liście. Nosiła też ona wszelkie cechy gorącej i szczerej przyjaźni, która nie ma tajemnic przed sobą.

Polacy nie tylko szanowali jego uczucia narodowe, ale starali się je podtrzymywać i ożywiać, zasilając go książkami, które mu mogły przyjemność zrobić. Posyłano mu więc Martwe dusze Gogola, Bohdana Zaleskiego Poezję,⁵⁾ a nawet jakąś ksiąteczkę, która ukazała się w Kijowie „po malorusku“ p. t. Kijewskie tandyszi (Kijowskie konwalje). O Bohdanie Zaleskim pisze: „miłego mi Bohdana otrzymałem; serdecznie ci dziękuję. Nie rozstając się z nim teraz; niektóre utwory umiem już na pamięć. Jedno tylko przykro: nie ma się z kim dzielić tą rozkoszą, jaką daje poezja“. O utworach swoich rodaków mniej przychylnie się wyraził. „Powiedz mi — pisze — na miłość Boga, skąd ty dostałeś tych zwiedłych, bez wszelkiego zapachu Kijowskich konwali? Biednym moim krajanom zdaje się, że tem pięknem narzeczem“⁶⁾ nie tylko można wszelkie bajdy wypisywać, ale i drukować. Biedakil — Nic więcej powiedzieć o nich nie można“.⁷⁾

Im więcej mijało lat wygnania, tem większy smutek i rzewność ogarniały duszę poety. Nadzieje zmoczyły w nim z beznadziejnością. Jeden car umarł, tron objął drugi — spodziewał się przeto ulaskawienia. Manifest wstąpienia na tron Aleksandra II., pominął Szewczenkę; czekał na manifest koronacyjny.

Była to walka oczekiwania z rozpaczą zapomnienia. Wkrótce mieli być ulaskawieni Sierakowski i Zaleski, a on męczył się jeszcze wśród bezleśnego i błademi trawami okrytego stepu — już sam prawie. Dawni towarzysze niedoli jedni po drugich opuszczali go. W samotności duchowej, nie mając z kim dzielić ani trosk swoich i smutków, ani nadziei, uciekał w niedaleką przeszłość, spędzoną razem z nimi, a wśród otoczenia rozpaczliwej jednostajności, ta przeszłość wydawała mu się piękniejszą zdaleka i powleczoną poezją smutku. „Wczoraj — pisze — byłem na Chanta Babie,¹⁾ obszedłem wszystkie parowy, pokłoniłem się jak starym przyjaciółom drzewom, któreśmy rysowali, a w najdalszym parowie — pamiętasz — gdzie przy samej studni sterczą obnażone korzenie wielkiego drzewa, — usiadłem pod tem drzewem i długo siedziałem. Padła drobny deszczyk, potem przestał, potem znowu padał, a ja nie ruszałem się z miejsca; tak mi było przyjemnie pod gałęziami tego starego olbrzyma, że siedziałbym do późnej nocy, gdyby nie myśliwi, którzy mnie spędzili — oby za to ani jednego wróbla nie zastrzelili! Jakież jasne, pełne rozkoszy wspomnienia ogarniały mię wtedy. Przypomniałem sobie całą naszą wyprawę Karatowską ze wszystkimi szczegółami — i ciebie i Turno... Ta wyprawa na długo pozostanie mi w pamięci.“

Po przybyciu Szewczenka do Nowopetrowska, komendantem tego stepowego fortu był kapitan Majewski, zdaje się, także jeden z rozbitków, którego los w stepy Kirgizkie zapędził.

Człowiek samotny, bez rodziny. Był przychylny dla Polaków i dla Szewczenka. Może wspominał na starość strony ojczyste, rodzinę, zateksnił do muzyki ojczystego słowa, dość, że zmiekl. Przez palce patrzył na wygnańców i tułaczy. Miał litość może nad własną ojczyzną. Szewczenko pozwolił nawet mieszkać u siebie. Nie długo to trwało. Umarł. Może i jego zabili tęsknota i samotnienie — ta gorączka żrąca powolnie ale beznadziejnie serce człowieka. Miejsce Majewskiego zajął Heraklusz Uskow. Ciężki z początku, lecz z czasem stawał się coraz łagodniejszym. Serca ludzkiego żaden urząd nie może przerobić na kamień. Jaśniejszy promień i w jego życiu się znalazł. Miał żonę, Agatę, Polkę niewątpliwie — jedną z tych zapewne, które, związane dobrowolnym łańcuchem, za sądecką szynelą wędrują po całej Rosji, a samotne i nieznanne życie kończą na emeryturze mężów, — szczęśliwe, jeśli potrafią stworzyć własną rodzinę. Wynarodowiają się one mimowoli i toną bezpowrotnie w obcym i dalekim morzu.

Osamotnione, a spragnione miłowania kogoś, serce poety uderzyło mocniej na widok kobiety,

¹⁾ Pisma Szewczenka str. 7.

²⁾ ibid. 38.

³⁾ ibid. 9.

⁴⁾ ibid. 20.

⁵⁾ ibid. 14.

⁶⁾ W liście „narieczje.“

⁷⁾ Pisma Szewczenka str. 25.

¹⁾ Jakież uroczysko w pobliżu półwyspu Mangyżlaku.

odbijającej się rażąco na tle dzikiego stepowego otoczenia, a o ile z portretu w wieku dojrzałym widać, piękna kobieta już samym widokiem swoim sprawiała mu przyjemność estetyczną; codzienne zetknięcie się z nią przerobiło uczucie estetyczne na miłość — miłość, powiedziałbym, idealną ale bynajmniej nie ślepą, jak obaczmy, do tego stopnia, aby zakryła przed nim wady moralne. „Ta najlepsza kobieta — pisał — jest dla mnie prawdziwą łaską Bożą. Jest ona jedyną istotą tutaj, którą zachwycam się — do poetycznego uniesienia. A zatem — jestem mniej lub więcej szczęśliwy; mogę nawet powiedzieć — zupełnie szczęśliwy. Czyż może być zresztą inaczej w obecności kobiety wysoce moralnej i fizycznie pięknej?” „Ona pamięta ciebie i wspomina życzliwie.“¹⁾ Tak pisał w Październiku 1854. Przez trzy miesiące jeszcze był w zachwyceniu. „Co za cudowne, podziwu godne stworzenie, czysta duchowo kobieta! Jest to najpiękniejsza perła w koronie stworzeń. Gdyby nie ta, jedyna pokrewna sercu memu istota, nie wiedziałbym co ze sobą robić. Pokochałem ją górną, czystą miłością, całłem sercem i całą szlachetnością mojej duszy. Nie przypuszczaj, mój przyjacielu, nawet cienia czegoś złego w mojej czystej miłości.“²⁾

Takie były pierwsze wrażenia, pierwsze miesiące stosunku towarzyskiego z Agatą. Ale bliższe zapoznanie się rozwiewało powoli czar uniesienia się i poezji. Po ściągnięciu zasłony z bóstwa — okazała się twarz pospolitej kobiety. W rok niespełna po pierwszych zachwytach nastąpiło otrzeźwienie. Dwa nieszczęścia, dwa ciosy uderzyły równocześnie prawie w serce poety: ominięcie go w manifeście ulaskawienia i rozczerowanie co do Agaty. „Rozpacz — z powodu braku łaski carskiej — tak mną wstrząsnęła — pisał do Zaleskiego — że ledwie zapanowałem nad sobą. Dotychczas jeszcze nie mogę się zrównoważyć, nie mogę przyjść do siebie. W takich wypadkach człowiek musi mieć szczerego, bezinteresownego przyjaciela.“ Dalej nieco dodaje: „Moje jedyne dotychczas moralne oparcie — i to się zachwiało, stając się brzemieniem pustym i bez życia; ona (Agata) karciańska najwyklesza, nic więcej. Czy to tak w samej rzeczy, czy tylko mi się zdaje? Tak jestem oszołomiony, że nie umiem rozpoznać co czarne, a co białe.“³⁾

Nie mamy najmniejszego pojęcia o tem, sądząc ze wspomnień o Szewczenko Agaty Uskowej, ażeby ta miłość, acz nie wyznana, znalazła w sercu jej jakie echo, dość, że z serca poety znikła. Przypuszczenia jego, co do nalogu karciarstwa, są bardzo prawdopodobne: karty i wódka wypełniały długie chwile

bezczynności umysłowej, zarówno żołnierzom jak i oficerom — przedewszystkiem oficerom załogi. Trzeba było wielkiej siły ducha, aby powszechnie panującemu prądowi oprzeć się. Czy zdołała oprzeć się Agata, kobieta prawie samotna, w obcym otoczeniu? Rzecz bardzo wątpliwa.

Z Zygmuntem Sierakowskim, który w roku 1863 powieszony został z rozkazu Murawjowa, Szewczenko utrzymywał najserdeczniejsze stosunki, i jak wiemy, korespondował z nim. Czy się odnajdzie w całości ta korespondencja? Serdeczny stosunek trwał między nimi przez cały czas wygnania. „List natchnionego Zygmunta — pisze — z najwyższą rozkoszą przeczytałem. Poeta prawdziwy! Nie odpisuję mu teraz, bo mam nadzieję widzieć się z nim wkrótce w „Ak-Meczeti“.“¹⁾ Przy każdej sposobności niezapomina przysyłać mu najserdeczniejszych pozdrowień i uścisków,²⁾ a gdy przez czas dłuższy wiadomości od niego nie ma, troszczy się i pyta: „dla czego Zygmunt nie pisze do mnie? Co się z nim dzieje? Gdzie on? Zawiadomij choć kilku słowami.“³⁾

(C. D. N.)

¹⁾ Pisma Szewczenka str. 20.

²⁾ ibid. 20.

³⁾ ibid. 18.



Drzeworyt oryg. — Jerzy Hulewicz.

¹⁾ Pisma Szewczenka str. 13.

²⁾ ibid. 17.

³⁾ ibid. 26.

WYSPIAŃSKI-ŚWIATOWID.

• EWA ŁUSKINA.

III. SŁOWO.

(DOK.)

Dotąd oglądaliśmy uwarstwienia światów: pra-słowiański i neo-helleński, utwierdzających się w duszy Wyspiańskiego fundamentem gmachu jego twórczości, — biorąc z nich te utwory, które niejako stanowią budowy kamienie węgielne.

Ale oto pochwyceni gwałtowną ręką przierzucamy się w świat odrębny, gdzie nie powtarza się żaden z dotychczasowych elementów, prócz jedyne go piętna, o którym później.

Jesteśmy w żydowskiej karczmie przydrożnej, świadkami obliczania brudnych zysków, patrzymy na sprawy ciemne i pokątne, na straszny handel wszystkim, żywym ciałem i duchem. Poznajemy lichwiarzy i dostawców żywego towaru, czyhających w ośrodku rozpiętej sieci pajęczej, starego chłopca, zeszłego na żebry i dziewczkę, najmitkę żydowską, w ugiętej spódnicy nad czerwonymi łydkami, zamiatającą szynkarnie, parobka urlopnika, imienne figury z partykularza, — galerja, do której mógłby przyznać się Zola, — i pytamy zdumieni, co wspólnego z tem wszystkim ma — Wyspiański? Wielki wizjoner i wielki realista — jeden z pierwszych dramaturgów świata (o ile chce być właśnie dramaturgiem) — wie, co czyni.

Właściwy bohater, piętnastoletni rudy żydzyk Joas, jeden z marzycieli Getha, jakich wydaje niekiedy najniższa warstwa proletariatu żydowskiego, jest raczej bierny przez cały ciąg dramatu, prócz jedyne go momentu, gdy wobec zbrodni, spełnionej przez najbliższych, urasta niespodzianie na sędzie ich sumienia — i ten wysiłek psychiczny płaci własnem życiem. Ale krwawa głęb duszy sponiewieranej dziewczki Jewdochy obnaża się nam w całej ludzkiej miłości i grozie, a stary karczmarz Samuel, przy zwłokach syna, z grzesznika niespodzianie sam urasta na sędzie — Jehowy.

„Gdzie on jest? (słucha przy sercu chłopca) tu go niema (głośno) Cicho! (szeptem) Cicho. Tu go niema (przy ustach chłopca) Tu go niema. Te oczy, patrzące we mnie — — ty nie umieraj. Tyś jest Mozart, tyś jest Rubinstein, tyś jest Joachim — ty nie umieraj. Tyś jest tysiące tysięcy, ty skarb, ty mój skarb, ty pałace, ty raj, ty Eden — ty, żył! (przynosi skrzypce, uśmiecha się, całuje skrzypki, kładzie na piersi chłopca) Ty graj, ty grajku mój, — ty graj, (nakrywa głowę rękuchem w czarne pasy — wskazuje obwinionego:) Puśćcie go wolno — (— a jest w tej chwili dostoyny jak władca) Nu, ja winien tej śmierci — a Bóg mnie winien... (wskazuje syna) ...tę śmierć. Bóg mnie to winien.“

Krótki ten monolog staje obok nieśmiertelnych arcydzieł, gdzie wszystko jest ryzykiem, bo oparte z jednej strony o arcy-ludzką tragedję, z drugiej o komizm. Więc Hamlet — i Moliérowski Harpagon.

Wina Jehowy i prawo Jehowy — problemat nie do rozwiązania. A komentarzem jeszcze jedna postać, wędrownego handlarza, biedaka Jukli, który w smudze słońca wdzierającego się ukosem w okna czarnego karczmiśka, jawi się, żywy symbol nędzy i weselej ufności w Panu, (obrośnięty dziko nastrzępionym włosem jasno żółtym, z oczyma złotemi, w ubraniu przejrzystym i przeświecającym, jak sito, barwy popiołu i piasku — na tyle głowy połamany półcylinderek z szerokim rondem) — „Żeby ja był cygan, toby ja miał lepsze portki wdziąć. A Jukli będzie siedł do raju po samych kwiatach. Jukli jest mała mucha. Nad Juklim czuwa On, co o każdej swej musze wie i za każdą jednako się mści!“

W tych kilku postaciach, w tych niewielu słowach, zawarto całą tajemnicę psychiczną tej starożytnej, obcej rasy. W „Sędziach“, jak w pokrewnej założeniem „Kłatwie“, jak zresztą w całym szeregu dzieł słowa Wyspiańskiego, panuje los, fatum — i to jest wspólna, stała cecha, pieczęć czerwona jego ducha.

Lecz już z błotnego karczmiśka władny gest twórczy przenosi nas niespodzianie na mroczne krużganki zamku w Elsinorze, gdzie na nowo zmusza nas przemyśleć historję duńskiego królewicza. I z mgieł orszakowych przenosi nas kapryśnie na jasną łąkę, jasną i kwiecistą, choć ścielącą się na zdradnym moczarze, — gdzie wzgardzona Ofelja, której słaby mózdzek nie zdołał sprostać wyrafinowaniu dworskich igraszek, zabawia się dziecinne m majaczeniem:

„Wieniec, mój wieniec
rwalam go sama i wiąże
Na ciebie czekam, na ciebie czekam
kochanku — — (kłania się) Mości Książę!“

Wyspiański mówi wyraźnie o przeistoczeniu Ofelji z kurtyzany dworskiej i zalotnicy — „w dziecko, kwiat wiosny, panienkę“ — którą „miłość i prawda zabija.“ „I będzie powtarzała w scenie obłąkania słowa roli owej kurtyzany — sama kwiat ukłękły przy ziemi“ — i dziwne te słowa i to powtórzenie będą wrażenie wywierać — w obłędzie, w płataninie darów Bożych, słowa te i piosenki, zda się, instynkt sam kobiecy mówić jej każe. Słowo każde — myśl jej zabija i istotę jej rozwija — i życie pieśni budząc, mrozi życie; mgła tajemnicy ją otacza, nieprzeparta mgła...“

Jasny moczar ciągnie, chłonie jej wiotkie stopy, krzywa wierzba płacząca próżno giętkie nagina gałązki:

„A te wianki, te moje
na wodę pójda ze mną
ja żyłam nadaremno
ja — się — żyć — boję...“

Twórczą wolą zbudzone wstają z prochów precudne kobiety: to Velasquezowska księżniczka z Cyda, to polska „Hedwigis“ czternastoletnia monarchini, — w potężnej i jedynej scenie zwiastowania przez Anioła Nocy:

„Niechaj się serce two nie trwoży.

Ty dla tej Polski będziesz perłą
z dna wód świecącą jasno
Śnieżną lilią skwitnie twe berło...“

...„Łzy co dziewczęce szczęście burzą — we skarb zawieją w łonie — i za lat setki — kiedy już wymrą wszyscy dziś przytomni — jeszcze ten naród w litości dla ciebie — o tych łzach twoich dziecka nie zapomni“. Słowa czule, jak miłującego piastuna, delikatne, jak objęcie matki, — onże dobył je z piersi spiżowej — twórca straszliwy? On-że to, ten sam, który wzbudził szal wieszczu w piersi nieszczęsnej Kassandry polskiej, Mariji?

„Warszawianka“. Dzieło skończone samo w sobie, zwarte i ścisłe, biała sonata, zamknięta w linjach matematycznych tej sali stylowej, białej, o białych meblach empire'u, za której szklaną ścianą, podzieloną pilastrami, widać miasto w śniegu. I te dwie panny, ubrane białą, przy czarnym klawikordzie, ustawionym na posadzce niemal czarnej, to jakaś wrastająca w mózg wizja, w białawym świetle zimowego poranku, rażąco jasna i temsamem, aż żalobna.

Tłum gości, oficerów polskich, — nie, raczej „królów tłumy“, jak je określa Chłopicki, sam król posępnej pychy. Nieszczęście, które tu wejdzie, nie wkroczy z zewnątrz, ono jest tu, od pierwszej chwili, w tych ludziach dumnych, mądrych, a przeżartych zwątpieniem „zwołującym nieszczęście drugim“. Tu nie ma nadziei. Jest piękno, odwaga, siła, świetność — ale wiary w zwycięstwo brak, więc „przeznaczeń gwiazda leci mimo, a rycerze i boje stracone“.

„Są rzeczy straszne, co są w tobie“ — narodzie.

„...my nie mamy wodza,
ja prosty żołnierz jestem, wolontarjusz,
ja słuchać chcę, rozkazujcie mi, kierujcie mną,
wtedy dokażę cudów, śpią, mrą we mnie cuda.“

Słowa-klamstwo, natchnięte przewrotną pychą, w ustach tego, którego wzywają dyktatorem — są odwrotnie prawdą, tego, który zjawia się posłem klęski: stary, sterany żołnierz polski. Ale ten właśnie milczy. Milczy, zagubiony w szarych szeregach, w upartym marszu po błotnej drodze, w boju upiornym i beznadziejnym, na straconej pozycji... Milczy — składając ostatni raport i jeszcze za progiem — waląc się z nogą, śmiertelną raną zmożon, — milczy aż do końca...

A tamci — „wy, piękni, wy, boscy, — wy, skarb, duma nasza...“

Jak żmija krwawa płacze się wstążka na klawiszach klawikordu, wstążka, która była białą... płacze się w palcach polskiej panny. A odjeżdżający żołnierze proszą o pieśń ostatnią, o pieśń bojową, wieszczącą tryumf, chwałę...

„Jękiem ponurym zatrząsł się i zahuczał instrument cały... i długo jęczy...“ Lecz pieśń ożyła. Ostatnim akordem zrywa się promieniejąca z rozdartego serca — jak ptak pokrwawiony...

„...kto przeżyje wolnym będzie
kto umiera, wolnym już.”

Zawsze oni. Ci sami z „Nocy Listopadowej”, bohaterowie młodzi, — na ogrodzie w bolesnej zadumie, — a oto przy drzew śpiewnym szumie — niewiast dwie pośrodkiem przechodzi. Utajone światło bije poprzez kwefy, poprzez welony młode lice różą się tli, gwiazdami — oczy... O, Najdostojniejsza, ty, którą Grecy „Panią” zwali, imienia wymówić nie śmiejąc. Tyżes to, Kora-Dziewica, na gody ślubne z Orkusem dążąca? Cóż to unosisz w rąbku szat?

„Spieszno mi odejść, odejść tam
gdzie stróżką ziarn być mam
i zgarnąć wszystkie plód.
Rzeczy tajemne tam się dzieją
nie mogą się bezemnie stać.”

Ty, Pani Eleuzyńskich tajemnic i czaru, w rękę twem klucze mistycznego chramu, kędy się pełnią misterje wieczystych odrodzeń. Ty jesteś tą, która świętym dreszczem wstrząsa duszę twórcy, w jakim bądź zatopioną pięknie i bólu — i boskie szaty śląc, — na nowo tęży ducha do wzięcia najwyższego lotu.

Twórca, który spojrzy w oczy Pani Eleuzyńskiej, jest dla sztuki, jako takiej, stracony. Idea go pochłania — Bóg w nim go ponosi. Sztuka jest niemniej z nim, bo nie być, nie może, bo jest atrybutem boskości.

Dzielnami, w których duch rozsadza formę, że zda się szorstką i splekaną, jak glina przyległa do odlewu śpiżowego posagu, który z poza niej prześwieca gorącym połyskiem brązu — jest „Wyzwolenie” i „Wesele”.

Historjografja Wyspiańskiego dochodzi tu współczesności, dramat psyche polskiej, który się przed nami rozgrywa, głos dobyty, jest „nasz z tego pokolenia”. O tyle bardziej linje zdają się być zwikłane i zagubione, ale raz odnalazłszy wątek, czujemy pod palcami nić serdeczną, snutą z naszej własnej piersi.

„Wyzwolenie” to tragedia prometejska, walka z Eryniadami, co biczują duszę pamięcią spełnionych win, z larwami trupiego smutku, wypęzłego z grobów i z trupią mądrością przeżytych form, z koszmarem zwątpienia, co zimnem tchnieniem rozwiera widziadła wielkości i zdziera zasłony posagu lzydy. Prometej, wydierca ognia bogów, pełni nim piersi glinianych figurek, i śni przez chwilę słodki sen twórcy, lecz wnet spostrzega, że ci, których mniemał ludźmi, to aktorzy, a miejsce Święte Świętych lichą dekoracją — że od wielkości do imienności — jeden brak — i w tym momencie uczuł w sobie szpony sępa: szydzącego demona. Na krótką chwilę uchodzi przed sobą, szuka schronu u domowego ogniska, nad kolebką niemowlęcia, — ale to tylko zaczerpnięta pewność trwania — jakiegobądź, — nie zaś znalezienie wrót: Vita nouva. Niel to nie wyzwolenie — to dopiero wola ku wyzwoleniu.

„O, jakaż mnie doła! O, jakaż mnie droga!
Ja w walce tknięty od Boga!”

Czemuś nie przybył, królu Śmiały, tam, gdzieby cię poznali — swego? Na „Wesele”! Chłopska chata, rozśpiewana, jak grające drewno skrzypiec, wybielona siwo, kiej te lny — przyparta na nizinie, w błękitie nocy letniej i ciszy uśpionych łańców. — Nie wiele różni się ona od zagrody piastowej, gdy ten w dobie postrzyżyn synka milego, Anioły w jej progach gościł.

Nie nowina, że pod strzechą cuda się dzieją. Zresztą, po co tu cudów? Rzeczywistość jest osobliwszą jak marzenie, a ten świat realny, chłopski, bije takim bezpośrednim rytmem życia, takim warem mocy, że błędnie wobec niego urok najbłękitniejszej wizji poety. Co innego chochoł, to taki sam dobry, żyty z ludźmi bożek domowy, jak każdy inny, i dziwem wielkim nie będzie, jeżeli zaproszony z serca przez młoduchę, zabierze się i na wesele przyjdzie sam, i przywiedzie — swoich gości.

Gospodarz, pan Włodzimierz, piękny szlachcic „co wziął sobie żonę z prosta”, który to z panami jest prawdziwym panem, a z gromadą, prawdziwym chłopem, — od lat uprawiał grunt na chwilę tę, nadzieję...

„Chociaż gleba może licha
nie trza ustępować z drogi
byli bogi — będą bogi.”

A że nadeszła ta chwila „kiedy każdy ujrzeć ma „co się w duszy komu gra“ — przeto w progu chaty staje przed nim wnet „ktoś znany — ktoś serdeczny, ktoś kochany“ — co rzecze:

„i wybrałem Ichmość Mości
dom, gdzie ludzie sercem prości.

Dając waści złoty róg.“

Jak to z tym złotym rogami bywa — wiadomo. Obłeci okolice rozkaz-słowo, zagrają temperamenty, ściagnie się lud zbrojny — gdy oto, kiedy wszystko gotowe, — gdzieś, z wysoka sypie się makowe ziarno, narkotyczny spada sen...

„Tańczy, tańczy cała szopka“ bucha werwą weselisko... lecz coraz sennie, coraz bardziej mdlejąco... aż znieruchomieje błędne koło... i zamiast pulsującej życiem jawy, mamy jeszcze jeden — genialny poemat.

Stacje krzyżowe tej rdzennie polskiej tragedji, wszystkie jej wzloty i upadki, przeżył Wyspiański kiedyś z „Legionem“. Duch nie zna chronologii, nie będzie zatem dziwnem, jeżeli ten właśnie wczesny utwór, o którym słusznie powiedziano, że jest to „olbrzymia jakaś msza messjaniczna, gdzie odprawiają się wielkie tajemnice romantyzmu, nieporównane oratorjum jego ekstaz i uniesień — ukaże się na końcu dwoistym w sensie i objawi nam po za maską Mickiewicza, sterana „brzydota cierpienia“ — twarz samego twórcy, a w bezlitosnem widzeniu ostatniem: „Noc nad wielkimi wodami i Łódź ogniem szalona, za maszt mająca Krzyż, za żagiel rozpiętą na krzyżu Chustę Weroniki — i legion wioślarzy, przykutych do wiosel“ — chwilę dzisiejszą.

„Wioślarzu, zapomnij brata!
nie czas płakać nad bratem,
wiosłujesz Światło świata.“

„Wśród łun pożaru widać Tanatos, jak ujął ster Korabiu“ — a przecież „nie masz lęku i trwoga daremna.“

„Ze śmierci ciało się urodzi
Duch-Słowo, Słowo potęga:

Zmartwychwstaniecie młodzie!“

To ziemski testament Światowida. Ale jest jeszcze inny, niebiański: hymn słoneczny, pieśń szczęścia, tryumfu, samopoznania.

„Wesoły jestem, wesoły — i śmieje się do łez... — choć jesień już na polu — kwitnący czuję bez. — Wesoły jestem, młody, już zbynam zbytnich piór — już idę w krąg swobody — już słyszę gwiazdny chór.“

Dusza, co rzuca świat, ze zdumieniem spogląda, na to, co pozostaje: „Cóż to? na marach trup?“ I pyta, pełna zachwycenia: „Ale, któryż jestem żywy? — czy ten, co leci wzwyż? — czy ten, co zmarł szczęśliwy — ściskając w dłoni krzyż? — Czy ten, co skrzydeł loty — przez żywot miał związane — czy ten, co ciska groty, — o krzemień gwiazd krzesane?“

Wyzwolony! A przecież „Z ziemi, tej smutnej ziemi, jak mgła podnosi się tęsknota i owija w okół serca, co wiele kochało... tam, w niskości... O, święte, zawsze święte widzenie dzieciństwa: „Ojczyzna moja, święta kochana — stąpa po łąkach, Pani Słoneczna, — ja idę za nią, jak duch Baranka — i wołam: Wieczna!“

Niel Ostatni z Królów-Duchów, ów światowidny — dla Raju nie zapomni swojej ziemi! Na odlocie — kreśli run tajemny.

„Gdy mnie ujrzycie takim lotem — że postać mam już jasną — to zawołajcie mnie z powrotem — tą mową moją własną — Bym ją posłyszał, tam u góry — gdy gwiazdę będę mijał —: podejmę może, po raz wtóry — ten trud, co mnie zabijał.“

Czekamy, Światowidzie!

MISCELLANEA.

TRUST. Niedawno obwieścili gazety powstanie „Związku Księgarzy Polskich”. Dowiedzieliśmy się o kapitale pięciu milionów marek, jako o podstawie finansowej organizacji firm wydawniczych z całej Polski. Zresztą nie słysząc nic o zamierzaniach, o programie nowej organizacji, krom wzmianki o projektowanych wydaniach dzieł romantyków naszych.

Ktokolwiek troska się o polską książkę, ktokolwiek z przerażeniem patrzył na zupełny niemal zastój wydawniczy w latach wojennych, ten radośnie powitał winien utworzenie mijołowej instytucji wydawniczej!

Naród bowiem, który wśród piekielnej walki o byt, o wolność, wśród mordu i pożogi wydobywa z pod zgliszczy i popiołów swoją księgę i ratuje ją od zniszczenia — naród taki zaprawdę nie jest skazany na zagładę. Nowy więc promień przesunął się wakraś ciemnej mgławicy otulającej polskie ziemie.

Błysnął i — zgaś!

Jakie wrażenie uczyniła wśród ogółu wiadomość, świadcząca bądź co bądź o tężyznie i sprężystości polskich księgarzy?

Czy chroniczna obojętność na zagadnienia narodowej kultury, czy przecucie jakieś niedobre powodem było zimnego, powściągliwego stanowiska pracy naszej względem „Związku Księgarzy Polskich” — nie zamierzamy tu rozstrzygać!

A jednak sprawa jest doniosła i nie powinna ująć bacznej uwadze kulturalnej części społeczności polskiej, albowiem w skutki brzemienne będzie i na rozwój ruchu książkowego wielki wpływ wyrzucić może.

Rzućmy okiem, choćby tylko na ostatnie momenty, dotyczące naszego ruchu wydawniczego.

W chwili największych wstrząszeń wojennych na ziemiach polskich, kiedy to wypadki dnia zdawały się brutalnie stłumić wszelką myśl poza aktualność wybiegającą, garść ludzi, poza ruchem wydawniczym stojących i poza księgarstwem, na widok zupełnego zastoju wydawniczego, na skutek wieści o nędzy, ba! o wypadkach śmierci głodowej twórców polskich i za przyczyną powszechnego zapomnienia o książce, a zasklepienia się wyłączności komunikatów wojennych (pod płaszczykiem „robienia Polaki”) — garść ludzi dobrej woli zorganizowała, jak wiadomo w roku 1916 w Poznaniu spółkę wydawniczą p. n. „Ostoja”.

Na ogół prasa powitała nową placówkę chłodno, nawet znalazły się gazety w Wielkopolsce, które zajęły wręcz wrogie stanowisko względem „Ostoji”.

W bieżącym zaś roku dowiedzieliśmy się o założeniu w Lipsku niemieckiego przedsiębiorstwa przeznaczonego dla nakładu książek polskich. W tym wypadku można było odczuć w prasie naszej pewien odruch zadowolenia. Snadź schlebiło nam, że obcy o nas myślał.

Nakłady polscy wszelako inaczej rzecz ocenili. „Ostoja”, nie mając dostatecznych zadań zarobkowych, nie mogła nakładem iść na rękę, ale konkurencji jej obawiać się nie potrzebowali, jako instytucji społecznej, bo wiadomo, że na cele literackie i artystyczne szkatuła ogółu naszego nader rzadko bywa otwierana. Inna rzecz z organizacją wydawniczą w Lipsku.

Trzymilionowy fundusz godzi tu już wprost w pieniężny interes firm nakładowych polskich.

Kupiecka więc sprężystość firm polskich wymagała przeciwstawienia się poważnej konkurencji obcej.

Dlatego zorganizowane „Związku Księgarzy Polskich” powitać należy, jako wartościowy odruch naszego kupiectwa.

A jednak!.. jednak doświadczenia dotychczasowe i sposób zorganizowania nowego związku pozbawia nas wszelkiej ulgi i radości, a przynajmniej ciężkimi obawami.

Geneza powstania „Związku Księgarzy Polskich” jest jasna a interes ruchu księgarskiego, widziany pod kątem zagadnień kultury, wymaga jasnej i niedwuznacznej oceny nowego zrzeszenia.

Pośród nakładców i księgarzy naszych doby obecnej nie mamy Żupańskich, natomiast mamy sprężystych przedsiębiorców i kupców.

Księgarstwo nasze kieruje się względami kupieckimi, natomiast mało, albo zgoła nie podejmuje nakładów mniej rentownych choć wartościowych.

Ponieważ na zjeździe polskich wydawców w Krakowie zorganizowano „Związek Księgarzy Polskich” bez żadnego współudziału pisarzy, poetów, publicystów, uczonych, artystów i kompozytorów muzycznych (a zważywszy, że dwudziestopięćmilionowy naród polski nie posiada ani jednego nakładcy muzycznego!) — przeto otrzymał nowy związek chrzest wyłącznie kupiecki.

Zaspokojono jedną część nakładu książki, część finansową i techniczną.

Ponieważ jednak niepodobna zaprzeczyć słuszności słowom J. Kadena-Bandrowskiego, który w tej samej materii cenne zamieszcza uwagi na łamach lwowskiej „Gazety Wieczornej” — że „jakis przestarzały zapewne zbieg okoliczności chce, że do powstania książki potrzebny jest jeszcze prócz papieru, druku i przedsiębiorcy — autor...” — przeto jasne jest, że zjazd księgarzy-nakładców najważniejsze warunki powstania książki pominał.

Nie przypuszczamy, aby stało się to było mimo woli krakowskich organizatorów; ale raczej — nauczani znów dotychczasowymi praktykami księgarskimi — mniemamy, że obecność autorów i artystów na zjeździe i ich decydujące głosy nie byłyby po myśli przedsiębiorców księgarskich.

Tak więc widzimy, że szereg firm nakładowych i księgarskich złączył się w organizację w własnym interesie finansowym.

„Związek Księgarzy Polskich” tem samem nie ma dla kultury polskiej żadnego znaczenia.

Przypatrzymy się jednak kwestji tej ze stanowiska autorów naszych, a co za tem idzie, ruchu twórczego wogółem.

O ile do tego czasu stosunek nakładcy do autora w Polsce opierał się na wykorzystaniu rozpaczliwego stanu majątkowego twórcy a zmuszał tylko niekiedy nakładcę do względności wobec bardzo poczytnego autora (a względność ta zawsze odrzucała wysokie odsetki), to przecież istniał cień konkurencji wydawniczej, co mogło niekiedy ulżyć nieszczęsnemu autorowi. Odtąd natomiast i ta krucha deska ratunku może zawieść, akoro wśród zorganizowanych w jednym zręczeniu nakładców solidarność obowiązywać będzie. Nakładca stać się może od dnia powstania związku w większej mierze panem życia i śmierci polskiego autora.

A zatem „Związek Księgarzy Polskich” jest TRUSTEM.

Miana tego „Związku” nie zmyje z siebie, a ostrze jego nie przestanie zagrażać autorom naszym dopóty, dopóki „Związek” nie da ściśle określonych gwarancji dotyczących stosunku swego względem polskich autorów.

Niechaj nikt nam nie zarzuca, że przedwczesnie wyrokujemy — zanim „Związek Księgarzy Polskich” zdołał ujawnić swoją działalność. Znamy praktyki dotychczasowe, a walka podjęta przez Stefana Żeromskiego rzuciła jaskrawe światło na stosunki wydawnicze w Polsce. A czyżby nakładcy w jednej nocy w jagnięta przedzierzgnąć się mieli?

Cuda ponoć się zdarzają..

Wierzmy i czekajmy.

Zanim jednak cud taki się ujawni i dobroczynne ześle Polace następstwa, miejmy oczy szeroko otwarte i w „Związku Księgarzy Polskich” nie dopatrujemy się niczego więcej, jak TRUSTU.

J. H.

Stanisława Brzozowskiego: Módl się i pracuj.

(C. D.)

Cała kompanja teoretyczna, jaką przeprowadzał Brzozowski przeciw „wyjłowiałemu” marksizmowi, przeciwstawiając Sorela.. Engelsowi (Marxa bezpośrednio nie zaczął w myśl zasady nie rękę karać, lecz ślepy miecz), powatała na tle fałszywego zrozumienia Sorela i z chęci pogodzenia go z uświadamianymi sobie już wolna rezultatami pracy nad współczesnym modernizmem katolickim Blondela (L'Action) i Loisyego. Rodziła się w nim nienawiść do intelektualizmu, do naukowego badania, do wszystkiego co nazywał z przekąsem postępowością w myśleniu. Afektem tym uzasadniał się stosunek Brzozowskiego do Młodej Polski, z tego źródła wywodzi się genetycznie krytyka marksizmu, ideologia pracy, którą uważa Brzozowski za oryginalną, samowolną zdobycz, mówiąc o sobie, że w nim „pierwszym w Polsce praca poczuła się myślą”. Zagadnienie nie przedstawia się ani tak groźnie, ani tak zawiłe, jak się to może nieobeznanemu z dialektyką Brz. wydawać. Fundamentalna jego koncepcja, dotycząca świata społecznego była następująca: Tylko organizacja pracy swobodnych robotników, którzy chcą i mogą wykonać równą i większą ilość pracy, od dokonywanej w obecnej organizacji, ma możność skutecznego oparcia się wobec żywiołu i nie musi szukać żadnych innych usprawiedliwień poza wartością swej pracy, będącej najwyższym sprawdaniem. Taka organizacja stwarza swoje specyficzne prawo, obyczajność, sztukę i religię; stwarza świadomie, jako dzieło rąk własnych, a nie narzucone z zewnątrz, niewarunkowane niczem innym, poza własną swobodną twórczością. Tylko taka rzeczywistość społeczna jest odpowiednikiem a właściwie tożsamością życia rzeczywistego, gdyż niema innego życia poza życiem, stwarzanym wysiłkiem i pracą człowieka. Wszyscy, szukający rzeczywistości lub jej wyznacznika nie w pracy i nie w swobodnej pracy, zaciemniają świadomość duchową producentów, zniekształcają rzeczywistość, opóźniają rozwój i prowadzą go na manowce dekadencji. Tak mniej więcej, w lapidarnym skrócie, przedstawia się ta „kosmogonia” społeczna Brzozowskiego, ów kamień mądrości, który miał mu wystarczyć, aby nazywać się — jak to niejednokrotnie czynił — pierwszym filozofem w Polsce. Dla uniknięcia nieporozumień zaznaczam od razu, że koncepcja ta, pomimo niejasności i mętności pojęć, jest najpopularniejszym pragmatyzmem, zastosowanym do terminologii proletariackiej. Brzozowski ludził się, wyobrażając sobie, że przez powierzchowną krytykę pragmatyzmu, który nazywał —

przyjmując określenie Sorela — filozofią kapitanów przemysłu, „cyników industrii”, — wyzwolił się od relatywizmu w stosunku do wartościowania i ustalania stosunku między prawdą a błędem. Wpływy, jakim uległ — Bergsona, Jamesa i Sorela, jakim zresztą ulegają modernści typu Blondela — były zbyt silne, aby mógł się pojęciowo i filozoficznie od nich wyzwolić przez puste frazeologiczne przeciwstawienie się. Kto odrzuca gotową już istniejącą rzeczywistość, a poznanie świata utożsamia z jego stworzeniem, ten w motywach swych i instynktach jest pragmatystą, chociażby na wszelki sposób temu zaprzeczał. Jeżeli nie przyjmuje się stosunku tożsamości między myślą a rzeczywistością — stanowiako Hegla, które Brzozowski odrzucał — a uważa się jedynie własne działanie za źródło rzeczywistości, a skuteczność działania za kryterium prawdy, — a takim było credo Brz. — dla takiej umysłowości istnieje tylko jedna droga oderwania się od pragmatystycznego światopoglądu. Ucieczka do wiary, do dogmatu, zatopienie w Bogu, w ekstazie, w przeżyciach religijnych. Na tej drodze rozwoju duchowego istnieją prawdy objawione, wieczne, trwające wbrew naszym myślom i wbrew skutkom naszych działań. Na tej drodze jedynie można przezwyciężyć wszystkie racjonalistyczne i pragmatyczne światopoglądy. Aż do czasu, w którym wsparty o ramię ostatniego swego mistrza kardynała Newmana, wszedł w jedynie-zbawiające wrota kościoła katolickiego, nie przestał być Brzozowski nigdy pragmatystą; nieestety popularnym i powierzchownym. Przeprowadził pragmatyzm tylko... o piętro niżej, na parter lub auteryny, zaczął go o organizację proletariacką, i sądził, że dokonał zupełnie nowego, epokowego odkrycia. Sorel, którego śladami Brz. niewolniczo podąża, nie miał takich złudzeń. Zdawał sobie jasno sprawę z tego, co zawdzięcza pragmatyzmowi, a jeżeli wyrażał się o nim niechętnie, to nie dlatego, iż wybierał sobie, że przezwyciężył go jako kierunek filozoficzny; czynił to raczej z temperamentu politycznego, z nawyknień określania wszystkich zjawisk źródłem ich powstania, metodą materializmu dziejowego: określenie jego, że pragmatyzm jest filozofią rycerzy przemysłu, stanowi wyrazisty skrót, mogący nam zastąpić genetyczne zobrazowanie prądów społecznych, na których tle ruch ten zaczął się rozwijać. Brzozowski dosłownie podchwycił ten zarzut, że go rozumiał, dlatego na razie uzasadnił go nie zdołał. Jednym z takich uzasadnień — chybotliwych zresztą — była krytyka intelektualizmu i trw. postępowości polskiej.

W Anti-Engelsie (str. 275—277) pisze: „Sojaldemokrata jest w istocie całkiem już niezwalczony, niedoświadczony, wierzy on bowiem, że wszystkie zagadnienia myśli i trudności życia znikną

wobec prawdy, której dziś nie zna, znać nie może, ale która się w nim rozwinięła". „Dla polskiego socjaldemokraty lub liberała Europa jest fikcyjną Europą, t. zn. rzeczywistością historyczną widzianą przez pryzmat politycznych stronnictw europejskich, pewnym rodzajem mirażu, unoszącego się ponad szpalami dzienników, trybunami parlamentów"... Co Brzozowski nazywa fikcyjnością u liberała i socjaliści stanowi zresztą zarzut Proudhona, wymierzony przeciw demokracji, jako ustrojowi atomizującemu społeczeństwo: demokracja nie rozumie czym jest organizacja społeczna, jednostka zbiorowa; siła, praca i tendencja demokracji zwrócone są w kierunku indywidualistycznym, społecznie anorganicznym. Cała ideologia demokracji jest urojeniem, gdyż nie liczy się zupełnie ze zorganizowaną rzeczywistością życia jako jednostką zbiorową (*l'être collectif*). — Tą krytyką demokracji położył Proudhon właściwie teoretycznie „podwaliny współczesnej socjologii; a koncepcje zobiektywizowania jednostki zbiorowej podejmowane z taką przenikliwością przez Durkheima są jakby dalszym ciągiem ideologii Proudhona.

Brzozowski nie umiał pogodzić w sobie stanowiska Proudhona ze stanowiskiem Sorela. Krytykę demokracji Proudhona i drobniomieszczanstwa francuskiego — Sorela, chciał zastosować do postępu i socjalizmu polskiego. Krytyka Proudhona przeprowadzona w połowie 18 w. miała swoje uzasadnienie; ale nierozumieniem rzeczywistości współczesnej jest twierdzenie, że socjalizm popada w te same fikcyjności demokratyczne. Socjalizm wyraża się z każdym dniem, z każdym rokiem coraz wybitniej, nie tylko jako metoda badań, nie tylko jako ujęcie twórczości społecznej w powien kierunek, określany przez świadomość organizującą się w łonie klasy robotniczej, — ale staje się w wysokim stopniu systemem klasyfikowania zjawisk społecznych, odrębnych, zwalczających się zbiorowości, klas, prowadzących tak konkretne życie, reprezentujących tak rzeczywiste interesy, że o fikcyjności historycznej rzeczywistości, jaką ma rzekomo stwarzać socjalista polski czy jakikolwiek inny, może mówić tylko człowiek, który żadnej konkretnej rzeczywistości nie widział.

I w tym wypadku więc okazuje się po dokładniejszej analizie, że o ile Proudhon ma słuszność, przeprowadzając filozoficzno-społeczną krytykę demokracji, o ile Sorel nie bez racji wyciąga podobne argumenty przeciw pewnemu typowi umysłowości socjalistycznej we Francji (a czynił to tylko z powodów politycznych, instruktywnych), o tyle wyprowadzanie z tych założeń konsekwencji, że socjalizm jest i stwarza fikcję rzeczywistości, że „każdy opozycjonista posiada w momencie, gdy jest opozycjonistą, swoje własne z konieczności niedorzeczne pojęcie przyczynowości społecznej", stanowi co najmniej nadużycie zaufania, jakiem darzy czytelnik pisarza, stojącego rzekomo na wyżynach współczesnej, najbardziej postępowej myśli europejskiej, a wynoszących konsekwencje najbardziej dowolne, nieuzasadnione i społecznie reakcyjne. („Krytyk i historyk literatury może stwierdzić, że zmył rzeczywistości, jej głębokiego znaczenia i demotoryzacji prawdy, nie idzie nigdy w parze z popularnością w środowisku opozycyjnym" str. 227 Idee. Wyraźniej i lepiej sformułował ten sąd jeden z liderów konserwatystów polskich: „Dobra polityka nie może być nigdy popularną".)

Poczucie rzeczywistości życia społecznego było u Brzozowskiego pocuciem jakby w tórnem, odbitem na jego najbardziej niewątpliwie rzeczywistości, na rzeczywistości ideowej. Właściwie jest Brzozowski klasycznym typem intelektualisty, dla którego twórczość myślowa stanowi tak rozkoszną czynność życia, iż wytwarza stały a niezmienny stan złudzenia, jakoby ta w zasadzie czysto dyalektyczna czynność była aktem twó-

czym w rzeczywistym życiu, była konkretnym faktem. To, co tak zawzięcie zwalczał Brzozowski u innych, ich intelektualizm, ich odwrócenie się od rzeczywistości, to stało się pod koniec życia jego wyznaniem wiary; jakby nie dostrzegając zasadniczej sprzeczności pomiędzy narzucanym drugim postulatem a własnym stanowiskiem, pisze w jednym miejscu, że „dopiero teraz zrozumiałem, iż jedyną rzeczywistością jest twórczość duchowa". Trudno zrozumieć, z czym właściwie walczył tak namiętnie Brzozowski, dobywając do walki argumenty niepolityczne — (to byłoby zrozumiałem), — ale psychologiczne i filozoficzne. Możemy sobie wyobrazić, że Brzozowski miał jakąś nieokreśloną i nieznaną nam bliżej intuicję zmyłowej niejako twórczości, że roilo mu się, iż taka właśnie intuicja oparta o konkretność twórczego się świata, o wartość pracy fizycznej, o ideologię stwarzanych przez człowieka nowych form rzeczywistości, stanie się Ziemią Obiecana dla organizującego się społeczeństwa i Polski pracującej. Przy opracowaniu tego programu okazało się, że konkretność twórczego się świata jest dla Brz. tak samo frazezem, jak system prawd, oparty o filozoficzne pojęcie pracy, że skłonności abstrakcyjne pisarza, poczucie wtórnej rzeczywistości, uświadomionej poprzez książki i myśli innych ludzi, było tak silne, iż nasza konkretna rzeczywistość społeczna, rzeczywista Polska, dla której właściwie poświęcił trud swego życia, nigdy przez niego ogarnięta nie została. Ten czuły nacjonalista, który, idąc umiejętnie zresztą zasympjanymi śladami Barrésa, chce dopatrzeć się kolebki naszego poznania w ojczyźnie („metafizyka była ucieczką od ojczyzny"), nie rozumie, że konkretna rzeczywistość nie jest abstrakcją, formą naszego myślenia, ale istnieje poza nami, inną jest we Francji, inną w Polsce, odmienną z gruntu i z historii. Wydawało mi się, że wystarczy przemyśleć kilku autorów, aby z argumentacji zaczerpniętych ze zupełnie obcych nam struktur społecznych, kulturalnych i politycznych wyciągnąć konsekwencje dla naszej zbiorowości.

EMIL BREITER.

(C. D. N.)

WYCINANKI)

„Przegląd Powazeczny" Tom 138 i 139. Z. 5—6 Nr. 413 i 414. Maj Czerwiec 1918. Kraków.

(Przegląd Piśmiennictwa. „Zdrój" Tom I. z. 1—6. 1917. Z. 1 i 2. 1918. podp. Stanisław Orliński):

„Na pierwszy plan wysuwa się Berent swą „Opowieść o rybaku", bardzo oryginalnie i głęboko pojętą, osnutą na tle odległego średniowiecza, drgającą jego życiem i językiem. Po tężna to rzecz, więc szkoda, że dotąd autor takie dziwne zajmuje stanowisko wobec Kościoła i duchowieństwa.

Zaraz na początku jakoś przytko czy pogardliwie wyraża się o nabożeństwie „chłopotwa": „Lizali ich wargi mnogie kształty w kamieniu tam działane, całując w zachwytiliwej pokorze i mądrych i głupich panien wyobrażenia i Hioba na barłogu i centaury, który poganiastwo oznacza i gołębie, zwalczającą smoka. Żebractwo zamadlało te pocatunki bogomolne, a rozsolonecznienie ranka kladlo poloziciu piaszcz miłosierdzia na

¹⁾ Rubryka p. n. „Wycinanki" posługiwali się będziemy w razie potrzeby, dając najbardziej typowe wycinki z rozpraw lub utworów, mających często pozór prac poważnych, a będących w istocie płodami rozpowszechnionej plagii grafomanji. Ale i prac poważniejszych pomijać tu nie będziemy, gdy tego wymagać będzie charakterystyka panujących jeszcze u nas opinii dotyczących sztuki i zagadnień filozoficznych. Nie sposób bowiem, powinać obywateli łamów „Zdroju" elaboratom niesatysfakcjonującym na komentarze, jakoteż nie sposób objętości przyglądać się panoszeniu się czasem ale popartym, bałamutnym wypracowań w prasie lub w książkach.

Iby kołtuniaste, na parcie giezła, na nogi czarne, jak ziemia."

Czemuż autor nie opisał potęgi wspaniałego nabożeństwa w średniowiecznym tłumie, tego poszumu organów, tej pieśni akrydlatej, tych obłoków błękitnego dymu i rozgwaru dzwonków i świateł jarzących i lánienia słonecznej monstrancji i tłumów, pokornie przed nią się gnących? Czemu właśnie taki wykróć z tych odpustowych wspaniałości?

A kiedy do grobu wkraczają jocularosze czyli „igreci”, jawi się przed nimi poseł od Benedyktynów i w imieniu opata prosi ich razem ze „skoczka piękną, wystawiającą dumnie pierś zupełnie gołą”, tylko Goliard, „który i biskupa się waży”, niech nie przestępuje progu! Węć igreci nie chcą iść: „Albo wszyscy spólem w refektarz przed aute stoły, albo niech się opat z gośćmi obje na smutno!”

A potem w jednej z piekarni przed mieszczkami zebrał nemi opowiada rybalt dość realistycznie o Lancelocie, co pozwała się uwieść złotowłosej królowej, wiarołomnej w obec małżonka. Zaś przedstawiając barwnie rynek i targ średniowieczny, znowu nie przepuszcza duchowieństwu. Dominikanin żebrzący wśród rynku chleba, na który mu jakoś pieniądze się nie wzięły, grozi diablami, a potem dziewczynę piękną, co w historycznym napadzie do stóp mu padła, dźwiga i prowadzi za sobą. „Oto klejnotami z torby mnich ją pewnie przystroi, jak sultanek: Od stóp do głowy przyzdobi dla się jej ciało, jak ten Abimelech Sarę niepodłą.”

Lecz dość już tego dziwnego i niezrozumiałego realizmu! Przedstawiliśmy go obszerniej, by dać wierny obraz pokarmu, jaki się podaje pod osłoną sztuki! W imię sprawiedliwości dodać jednak należy, że w tej samej powieści, obok niecnego Dominikanina, litościwy Franciszkanin roztacza opiekuńcze skrzydła nad trędowatymi.

„Już pobieżny przegląd pierwszego tomu pisma (Zdroju — red.) wskazuje na to, że przeważnie poświęcone sztuce. Poważnych, naukowych artykułów bardzo mało...”

„*Idee religijne w nowszej literaturze polskiej.*” Ka. Kantak. (Dziennik Poznański):

„Władza bowiem w Rosji upostaciowana w caracie, była pomimo Herzena teokratyczna, stosunek człowieka do niej zatem ściśle ją łączył się z religią, a walka z nią w pewnym stopniu w walkę z Bogiem się przeobrażała.”

„Niewątpliwie Kasprowiec należy do najprzedszych poetów polskich doby obecnej. Ale...”

„Tymczasem Micińskiemu nie wystarczy stanowisko kontemplacyjne widza na widowni życia. Próbuje sięgnąć do zagadnień ideowych, narodowych i religijnych. I tu staje się z nim to samo, co z Wyspiańskim; wychodzi zamęt, chaos. Za daleko prowadziłoby tu rozbierać tego powody ogólnie dziejowe. Są wszakże i osobiste. A te polegają na niedostatku dyscypliny wewnętrznej; poeta nie zdobywa się na to, żeby wśród niezliczonych możliwości wybrać jedną. Dlatego myśl jego nie wychodzi ze stanu mgławicy, a utwory ideowe jak „Nietota” i „Ksiądz Faust” wypadają mętno i nawet estetycznie nie dają zupełnego zadowolenia.

Idea religijna Micińskiego, o ile wywieść ją można z zagadkowej terminologii głównie księdza Fausta, jest to najprzód zaprzeczenie materializmu, monizmu, ateizmu. „Religia ratowała cywilizację od zgnicia wewnętrznego.” Materializm zacieśnia życie, zuboża je, wogóle duszy ludzkiej nie wystarczy. Jak poza

świadomością istnieją całe oceany bytu, tak i poza intelektem ludzkim znajdują się ogromne sfery duszy. Monistyczne pojmowanie nie wystarcza, tutaj poza niem i ponad nie duże religia prowadzi do nieskończoności. Potrzeba życia religijnego. „Życie religijne jest też kopułą przemysłów najcięższych.”

Czemże jednak religia jest pozytywnie?

„Słoneczną natężoną wolą wzbicia się jaknajwyżej” jest życie. „W głębiach naszej istoty odbywa się nadsłoneczna twórczość. Jest to życie Boga w nas, życie błogosławiące nad grozą potwornych mroźnych przepaści. W kim narodzi się ta wiara, ta wiedza i ta moc, przechodząc w ciało i krew życia — w tym zaiste rzecz można, iż Bóg się narodził.”

Mętno to dosyć, ale w istocie dostarczyć można, o co chodzi. Chodzi o wewnętrzne przeżycie, o intuicję, o instynkt religijny. Czyli innymi słowy, znajdujemy się w teologii modernistycznej.”

PISMA NADESLANE.

Masłki — zeszyt 20. St. Wyspiański — *Rysunki do „Legendy” II.* Romain Rolland — *Dwie Francje.* Leopold Staff — *O Francji.* Kaz. Tetmajer — *Walka.* Emil Zagadłowicz — *Samotność i marzenie.* Kaz. Tetmajer — *Z aforyzmów.* Fr. Mirandola — *Genialny pomysł.* Przegląd.

Masłki — zeszyt 21. St. Wyspiański — *Rysunek do „Legendy” III.* Józef Jędrzej — *Ktoś w masce.* Stary zegar. *Kwiat wiekultysty.* Kaz. Tetmajer — *Walka.* Leopold Staff — 1914—1918. Edw. Rosenfeld-Jędrzej — *Z dalekich tęsknot.* Art. Schröder — *Lato.* A. Waśkowski — *Erotyki.* Erasm z Rotterdamu — *Charon* (tłom. Maur. Mann). Przegląd.

Masłki — zeszyt 22. St. Wyspiański — *Z rysunków do „Legendy” IV.* Leop. Staff — *Szkola.* Kaz. Tetmajer — *Walka.* Ot. Brzezina — *Moja matka.* K. Szukowski — *Filozofia koralowa wobec religji.* J. Jędrzej — *Refleksje dobrodusznego.* St. Breyer — *Soneciki wakacyjne.* Przegląd.

Kultura Polski — zeszyt 29. *O przyszły sejm Królestwa polskiego.* Jan Wiktor — *O sprawach Spizu i Orawy.* Jan Ptaśnik — *Leleweł.* Sz. I. — *Nowy front wschodni.* Z wydawnictw. Nowe czasopiśma polskie. Notatki.

Kultura Polski — zeszyt 30. *Nieobecny.* J. Krzesławski — *Roczny bilans szkolnictwa w Królestwie.* Dr. Jan Ptaśnik — *Związek polskiej inteligencji ludowej.* S. R. W. — *Programy agrarne lewicy w Król. Polskim.* Organizacja moskalofilstwa na Rusi galicyjskiej. Z wydawnictw. Notatki.

Kultura Polski — zeszyt 31. *Ku jednoci.* Damian Wandycz — *Samostanowienie narodów.* *Programy agrarne lewicy w Król. Polskim.* L. W. — *Z życia słowian.* Lector — *Nowe lekarstwo na pesymizm polityczny.* Luźne notatki.

Myśl Polska — zeszyt 3. Teodor Toeplitz — *Drużba polskiego parlamentu.* Działaw Ludkiewicz — *Postulaty ekonomiczne programu agrarnego w Polsce.* Feliks Kon. — *Przewrót bolszewicki w Rosji.* Karol Irzykowski — *Z cyklu: Despresje. Poszukiwania. List gończy. Bestja. Oazy.* — Zygmunt Kisieliński — *Błyszakwie.* Maria Zabojecka — *Cetno-licho.* Przegląd bibliograficzny.

Z powodu ponownego opóźnienia pocztowego przesyłki korekt z Warszawy, zniwoleni jesteśmy odłożyć ciąg dalszy powieści „Opowieść Rybalt” do następnego zeszytu.

Nieznane pisma NORWIDA

ukazał się niebawem na łamach „Zdroju”.

Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Jerzy Hulewicz, Kościanki. — Przedstawiciel redakcji na Austro-Węgry:

Jakób Geszwind, Wiedeń. — Nakładem Spółki Wydawniczej „Ostoja” w Poznaniu.

Wszelkie prawa autorskie, przekładu oraz reprodukcji zastrzeżone. Copyright by „Ostoja” Poznań — Posen.

Odbito w tłoczn „Pracy” w Poznaniu.

Oryginalne drzeworyty i akwaforty

Artystów: Jerzego Hulewicza, Małgorzaty Kubickiej, Stanisława Kubickiego, Stefana Szmaja, Władysława Skotarka, Jana Wronieckiego, Augusta Zamoyskiego

 nabyć można za pośrednictwem naszym 

REDAKCJA „ZDROJU” — Poznań, Plac Wilhelmowski 17

„OSTOJA” Spółka Wydawnicza w Poznaniu

poleca jako nowość

Adolfa Nowaczyńskiego

Szkice literackie

Cena mk. 9.—

Nabyć można we wszystkich księgarniach.

„POLSKA”

PISMO TYGODNIOWE Z OBRAZKAMI, POLITYCZNE, SPOŁECZNE, OŚWIATOWE,
GOSPODARCZE, SPRAWOM LUDU POLSKIEGO POŚWIĘCONE.

Prenumerować można wprost z redakcji:

Warszawa, ul. Hortensji, Nr. 7, m. 21.

oraz na wszystkich pocztach w okupacji niemieckiej.

(Skrzynka pocztowa No. 64).

PRZEDPŁATA wynosi rocznie 10 mk. półrocznie 5 mk., kwartalnie 2 mk. 75 fen. miesięcznie 1 mk.
w okupacji niemieckiej, a 15 koron rocznie, 7 kor. 50 hal. półrocznie, 4 kor. kwartalnie i kor. 50 hal.
miesięcznie w okupacji austriackiej.

MASKI Czasopismo ilustrowane, poświęcone literaturze, sztuce i satyrze

Wychodzi 1. 10. i 20. w miesiącu — — Adres Redakcji i administracji: KRAKÓW, Wolska 1 10
Prenumerata z przesyłką: kwartalnie 20 kor. — półrocznie 38 kor. — rocznie 75kor.

Druk nowej powieści K. Tetmajera p. t. „Walka”, cykl „Listów ze wsi Wł. Orkana. Z dniem 1. lipca druk cyklu nowel tatrzańskich K. Tetmajera, które obejmą nowy VIII. tom „Skałnego Podhala.”

Na Poznań i W. Ka. Poznańskie główne zastępstwo sprzedaży „Masek”
objęła Księgarnia A. Cybulskiego w Poznaniu.

S. KAŁAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

Dla Pań		Dla dzieci		Dla panów	
Biżuteria	Pończochy	Sukienki	Torebki	Skarpety	Szelki
Gorsety	Rękawiczki	Trykoty	Koźnierzyki	Rękawiczki	Trykoty
Haiki	Koźnierzyki	Fartuszek	Kapelusze	Krawaty	Parasole

  TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI.  

POLONIA Księgarnia Nakładowa i Komisowa

Lausanne, Maison Kursaal, Szwajcaria

przyjmuje wydawnictwa we wszystkich językach na rachunek komisowy oraz dostarcza wszelkich wydawnictw i czasopism zagranicznych w językach polskim i obcych.

Zamówienia wykonywa się starannie i szybko.

DRUKARNIA „PRACY”

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ
PIEKARY 21 W POZNANIU PIEKARY 21

POLECA SIĘ DO WYKONYWANIA
WSZELKICH PRAC DUKARSKICH

GUSTOWNIE, SZYBKO I TANIO
TELEFON 3097 TELEFON 3097

Pro arte et studio miesięcznik warszawskiej młodzieży akademickiej

Prenumerata roczna z przesyłką 30.— mk., półroczna 15.— mk., kwartalna 7.50 mk.

Cena numeru pojedynczego 2.50 mk.

Przedpłaty przyjmują Gebethner i Wolff (skład główny) oraz inne księgarnie.

Adres redakcji: Żłota 8 m. 5.